



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta: kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## POGA WĘDKA

Niebo, jak podziurawiony garnek, cieknie deszczową wodą a gospodarze syczą, jak rozpalona blacha, bo im się żniwa nie udają, pasza mownie w polu, zboże porasta i wszystko opóźnia się skutkiem niepogody.

Miły los takiego Szyfa wiejskiego, który się cały rok ludzi nadzieją, że może go tam jakoś to lato poratuje, może się sucho zbierze i nie puści omlóci, a tu właśnie, jak na złość, po kanikule przysły deszcze, które w rozmaitych odstępach przysnucują najniepotrzebniej ziemię i przerywają bez ustanku roboty około żniw i wózków w polu.

Na tę figlarną aurę skarżą się wszelako wszędzie mniej więcej w Europie i wymyślają Danaidom w rozmaitych językach ludzkich, ale to wcale nie pomaga, i dopóki jaki nowy Edison nie wynajdzie sposobu rozbijania chmur i sztucznego regulowania klimatu, sprowadzania deszczu na zawołanie i powstrzymywania ulewy, dopóty będziemy słuchali ciągłych utyskiwań i narzekań na nieporządki meteorologiczne.

Czy wszelako takie w mieszanie się w administracy wyższych sfer jest możliwe i nie należy do mrzonek — kto to wie; dzisiaj niczemu już zaprzeczyć nie można. Umysł ludzki robi takie szalone niespodzianki, wynalazczość porywa się na takie śmiałe zadania, że może i regulacyi pogody i klimatu się nie ułęknie.

Przed laty kilkunastu czytałem już w tym względzie rzucane pomysły o przyciąganiu i odpychaniu olbrzymich lodowców u bieguna północnego; wówczas mogło to być marzeniem uto-

pisty, ale za lat—czy ja wiem ile?—może się stać kwestyą na seryo traktowaną.

Przed laty dwudziestu my wszyscy, cośmy znali tylko rozprawy Helmholtza z akustyki i dziwili się przyrządom naśladowującym pojedyncze dźwięki artykułowane, nie przeczuwaliśmy, że tak rychło powstanie fonograf Edisona i że będzie nam śpiewał, mówił, odtwarzał wszystkie głosy, uwieczniał je na całe setki lat i zaprzeczy przysłowiu, że „słowa z wiatrem lecą“.

Do bardzo niedawnego czasu wystarczała nam fotografia, która jako miła pamiątka przechowywała nam rysy drogich osób i dobrych znajomych w ramach na ścianie, lub w albumach na stoliku; dzisiaj ta fotografia potrafi już utrzymywać ruchy, wyraz zmienionej fizjognomii, odtwarzać człowieka żywego, a połączona z fonografem da nam jeszcze zupełne złudzenie rzeczywistości.

Dzisiaj mamy już elektrotachiskop, wynalazku p. Ottomara Anszycy, fotografa z Poznania, który przez pewien czas hawił w Warszawie i pracował w jednym z tutejszych zakładów fotograficznych; wynalazł on aparat tak szybko robiący zdjęcia, że w przeciągu kilku sekund kilkadziesiąt sporządza póż na suchych kliszach i w ten sposób umożliwia odtwarzanie w bardzo blizkich po sobie następujących momentach żywego ruchu, np. lotu ptaka, biegu konia, tańców, skoków, i t. p.

Podobnie jak każdy ruch da się rozłożyć na owe pojedyncze momenta względnego spokoju, których pojedynczo wzrok nasz nie może dostrzedz, tak też i z tych momentów da się odtworzyć dla oka wrażenie ruchu, a raczej jego złudzenie przez szybkie znów ich łączenie z sobą.

Na tej optycznej zasadzie polegają znane zabawki dla dzieci, w których szereg figurek w stosownych pozach wiruje przed szparą w tekturowym cylindrze, a widzowi się zdaje, że figurka

wykonywa rozmaite ruchy, wywoływane sposobem mechanicznym.

Pan Anszyc wpadł na pomysł użycia do tego samego celu fotografii zdejmowanych z natury i oświetlanych iskrą elektryczną; zbudował tedy odpowiedni aparat, nazwany elektrotachiskopem i doprowadził do świetnego rezultatu odtwarzanie „żywych obrazów z natury“.

Kto ciekawy, może się o tem naocznie przekonać w Warszawie; przy zbiegu Nowego Świata u Aleją Jerozolimską stoi mурowany kiosk, w którym obecnie pokazują wynalazek p. Anszycy.

Jest to naprawdę widowisko godne podziwu.

W zaciemnionym zupełnie pokoiku zjawia się na ścianie szereg obrazków, które sprawiają wrażenie, jakgdybyśmy przez odwrotną stronę lornetki teatralnej patrzyli na biegnącego psa, maszerujących żołnierzy, jeźdźców na koniu, fechtujących się szermierzy, skaczących gymnastyków, i t. d.

W pomniejszych rozmiarach mamy tu żywą naturę i pochwycone ruchy tak dokładnie, tak ludzko prawdziwie, że się oczom własnym uwierzyć nie chce, iż np. ten kawalerzysta przesadzający rów, któremu wiatr rozwiewa poły surduta, a zpod kopyt końskich piasek wzbija w górę, był tylko fotografią, nie żywą figurą, widzianą w miniaturze.

Jeszcze większe wrażenie sprawia widok staro robotnika, który z lubością zażywa tabakę, oczy mu się przytem uśmiechają, cała twarz porusza i ożywia wyrazem zadowolenia.

Pan Anszyc, który jest podobno naszym rodakiem, otrzymał od rządu pruskiego subwencyą na udoskonalenie swojego wynalazku i robienie nowych prób z elektrotachiskopem; udało mu się odfotografować już kulę karabinową w locie, przemykającą w powietrzu 400 metrów na sekundę. Ta wrażliwość kliszy fotograficznej



przy tak wielkiej szybkości, ta błyskawiczna działalność aparatu może być jeszcze wyzyskana w poważniejszych celach, z których skorzysta kiedyś nauka.

Sztuka dzisiejsza już z niej wiele wyciąga pożytku, ale i wiele traci pod niektórymi względami; fotografia ze środka pomocniczego staje się dla wielu artystów głównym materiałem tak zwanych „studyów“, staje się nadużyciem w dziedzinie sztuki malarskiej, staje się nieprawie samą sztuką.

Malarz ułatwia sobie aparatem fotograficznym pracę do tego stopnia, że prawie samodzielnie sam, na własną rękę, pracować przestaje, ograniczając się do... nakładania farby na fotografię, którą kopiuje często także sposobem mechanicznym. To mniej wymaga zachodu, trwa krócej i — lepiej wygląda, niżeli gdyby wprost z natury było malowane.

Niezawodnie; tylko to jest podstępem, plagiatem, kradzieżą artystyczną, niegodną prawdziwego talentu i prawdziwej sztuki: malarz zatracając swoją indywidualność, nie tworzy — ale odtwarza niewolniczo, często bezmyślnie, bez natchnienia, które powinno być każdej twórczości nieodzownym przydatkiem.

Co się stanie z malarstwem w tych warunkach, gdy fotografia rozwiąże ostatnie swoje zadanie i zacznie wydobywać na kliszy kolory?.. panowie artyści studujący dzisiaj naturę przez soczewkę momentalnego aparatu, będą musieli chyba pędzle złamać i paletę wyrzucić przez okno, jeżeli nie zechcą wrócić do dawnej tradycji studiowania natury gołem okiem i odtwarzania jej wprawną ręką nb. własną.

W zeszłym miesiącu po powrocie z Bremy zdarzyło mi się być na międzynarodowej wystawie sztuki w Berlinie; trudno jest najbystrzszemu oku z obejrzenia kilku tysięcy obrazów wszelakich rozmiarów wynieść coś więcej, nad wrażenie chaosu barw, który powoli przy następnych dopiero i coraz częstszych odwiedzinach pałacu wystawy ustępuje i układa się w jakieś bardziej uporządkowane wrażenia.

Wyniosłem z tamąd osobiste może spostrzeżenie, że z tego mnóstwa kolorowych płócien, bardzo mało pozostaje w pamięci przeciętnego widza, który nie posiada zaostrego zmysłu do chwytania szczególniejszych efektów kolorytu, światłocienia, perspektywy powietrznej i tych rozmaitych właściwości malarskiej techniki; a dzieje się to, moim zdaniem, dlatego, że zlekceważenie zupełne treści obrazu przez nowoczesnych artystów, powtarzanie szablonowych niemal tematów bez oryginalniejszej pomysłowości, wyrzucenie się pewnego sentymentu i uroku poetycznego w dziełach „reformatorów“ sztuki, ogranicza najlepiej nawet malowane obrazy do jakiejś mniej lub więcej kunsztownej kombinacji linii i kolorów, które przemawiają do wzroku, ale nie do duszy widza.

Niepodobna mi spać tych wszystkich więcej lub mniej zielonych krajobrazów, na których tle stała niema, nic nie mówiąca figura męskiego lub żeńskiego rodzaju, albo tych manekinów ludzkich, malowanych z większą lub mniejszą wypukłością w mniej lub więcej jaskrawem oświetleniu, dlatego, że one do mnie nie przemówiły silniej, nie zainteresowały mnie swoją duchową treścią, nie potrafiły moich myśli lub uczuć i przestały tylko na chwilomem zatrzymaniu wzroku.

Wiedziałem w danej chwili, że to było lepiej, lub wierniej z natury malowane od tamtego; ale co to lub tamto przedstawia, czem mi się w pamięć głębiej wrazić mogło, tego dzisiaj nie powiem i nie pamiętam, bo nie potrafię „opowiedzieć“ żadnego z tych obrazów, nawet bardzo zachwalanych przez artystów i krytykę dla ich technicznych zalet.

Tymczasem mam ciągle na oczach, i nie stracę ich tak łatwo, te właśnie obrazy, z których geniusz artysty i sztuki przemówił do mnie, nie samym językiem barw, ale swoją treścią, swoją myślą, swoją spozregawczością oryginalną, często nawet w bardzo pospolitych motywach.

Zdaje mi się, że pod tym względem znalazłbym więcej takich samych, jak ja, „upośledzonych“

wielbicieli sztuki, którym sama forma, sam rysunek najdoskonalszy, koloryt świetny, i sposób malowania nie ze wszystkim wystarczają; którym potrzeba, aby obraz do nich przemówił, jeśli się nim zająć i zachwycić mają.

Dział obrazów polskich na wystawie berlińskiej, jakkolwiek nie z najlepszych utworów naszego pędzla i nie ze wszystkich najcelniejszych talentów złożony, wyróżnił się jednak nader korzystnie z całości, pomimo trudnego współzawodnictwa z twórczością europejskich artystów; przypadło też stosunkowo najwięcej odznaczeń bardzo zaszczytnych dla malarzy i rzeźbiarzy polskich.

Najwyższy dowód uznania, dyplom honorowy, otrzymał Józef Chełmoński, duży medal złoty Józef Brandt, (na dziewiętnaście wogóle rozdanych) siedm mniejszych medali (na 73 w ogóle przyznanych) udzielono Pochwalskiemu, Bilińskiemu, Marczewskiemu, Zd. Jasińskiemu, Zyg. Ajdukiewiczowi, Welońskiemu i Rygierowi.

Procent to bardzo znaczny zarówno w stosunku do nagród rozdanych, jako też ilości dzieł wystawionych w dziale artystów polskich.

Oprócz dyplomu honorowego i medali złotych, przyznano zaszczytne wzmianki w listach pochwalnych (*mentions honorables*) sześciu malarzom (Hirszenbergowi, Piotrowskiemu, Weyssenhofowi, Ryszkiewiczowi, Batowskiemu), jednemu sztycharzowi (Łopińskiemu) jednemu rysownikowi (Stachiewiczowi) i dwóm rzeźbiarzom (Wójtowiczowi i Barączowi).

Jeżeli się sprawdzi niewyjaśniona dotąd wiadomość, że drugi dyplom honorowy przyznano Pałatowi i jeżeli Horowitza zaliczymy w połowie do naszych malarzy, w takim razie przypada na sztukę polską dwadzieścia jeden większych i mniejszych zaszczytów na tym międzynarodowym popisie talentu i twórczości.

Niezawodnie brak Francuzów, którzy pomimo zaprosin, wizyty Cesarzowej Fryderykowej w Paryżu i zabiegów prasy niemieckiej, udziału w wystawie berlińskiej nie wzięli, ułatwił reszcie europejskiej sztuki wzajemną konkurencją.

„Słowo“ zwróciło słuszną uwagę, z powodu tych odznaczeń przyznanych naszym artystom zagranicą, że obcy więcej mają dla nich uznania, niż swoi, i przy tej sposobności powiedziało kilka gorzkich prawd naszej publiczności, przestając na patoniznem umiłowaniu sztuki.

Nie ulega wątpliwości, iż zamało popiera ją ogół, za słabo przyczynia się do jej rozwoju; przecież to wstyd przyznać się przed obcymi, że w mieście półmilionowem, jak Warszawa, Towarzystwo zachęty do sztuk pięknych ma za ledwie półpięta tysiąca członków, i że w ciągu roku nigdy jeszcze z wystawy tego Towarzystwa nie sprzedano obrazów i rzeźb za więcej, niż 7.000 rs.

Komitet zakupuje obowiązkowo dzieła sztuki do rozłosowania, ale publiczność nawet ich nie ogląda tak licznie, jakby się to godziło; ona nie rozumie tego, że idąc na wystawę, nie tylko sobie sprawia przyjemność i estetycznie się kształci, ale przysparza dochód, który ułatwia potem nabywanie większej ilości obrazów przez komitet i zachęcanie artystów do dalszej twórczości.

Niechajby zatem przynajmniej odwiedzała częściej nasz „Salon“, skoro nie kupuje malowanych obrazów i poprzestaje na oleodrukach, na portretach ułożonych z fotografii powiększonej, a co najwięcej na jakim szkicu pół darmo nabytym po długich targach i namysłach od jakiegoś drugorzędnego malarza, bo... taki bywa tańszy.

W pewnym bardzo zamożnym domu znalazłem raz kilka obrazków w bardzo wyłożonych ramach, ale ani gospodarz ani gospodyni nie umieli mi powiedzieć na pewno: czyjego są pędzla i co przedstawiać mają; w zaufaniu przyznał mi się pan domu, że kupił to przypadkiem na licytacji po lokatorze, który się kochał w takich „farmuszkach“.

Miałem ochotę zapłacić za herbatę, którą mnie poczęstowano i wyjść z salonu, w którym gościom imponują kolacją z bażantami, ale obrazy kupują na licytacji przypadkiem i nazywają je niewiadomo dlaczego „farmuszkami“.

Większość usprawiedliwi się brakiem pieniędzy i powie bardzo słusznie, że byłoby zbyt

kupować dzieła sztuki, kiedy tyle innych potrzeb jest wpierv do zaspokojenia, ale ten argument niezaprzeczenie najbardziej przekonujący bywa nadużywanym często nawet przez istotnych bogaczy; oni także w danych chwilach nie miewają pieniędzy.

Któż je ma ostatecznie?..

Gdy chodzi o duże interesa publiczne, o przedsiębiorstwa na większą skalę, o forszę, słyszymy tak często, że brak kapitałów, że musimy w obec ręce składać najlepsze projekta, bo do ich wykonania nam samym nie starczy środków.

Nie będę do znudzenia powtarzał historii desauskiego gazu, belgijskich tramwajów, amerykańskich telefonów, etc. etc. bo o tem już wróble na dachach świerkać przestały.

Dośzedłem do przekonania, że najbardziej pomyslowym i najruchliwszym w Warszawie inicjatorem i przedsiębiorcą jest p. Devars, który ma pełny rękaw projektów i sypie niemi bezustanku; jeszcze nie dobił targu z miastem o budowę bulwarów nad Wisłą, już chce traktować o zużytkowanie placów po szpitalu Dzieciątka Jezus, który ma być przeniesiony na folwark świętokrzyski. Po uregulowaniu tej miejscowości pustej i utworzeniu nowych ulic inżynier francuzki projektuje wybudowanie olbrzymiej hali koncertowej i balowej na 5.000 osób, nadto wielki zakład restauracyjno-kawiarniany i sześćdziesiąt lokali na sklepy, z których komorne według obliczenia da 5% od wyłożonego na budowę kapitału.

Pan Devars ma przekonanie, że Warszawa stanie się małym Paryżem, i że potrzeba jej hali na pięcioletnią publiczność; przy energii francuzkiego projektodawcy i kapitałach jego środków może taka halle przyjść do skutku, tylko trzeba będzie potem i publiczność sprowadzać z zagranicy, bo ta massa miejscowa jakoś nie zapełnia dziesięćkroć mniejszych sal, stojących najczęściej pustkami.

Pan Devars wszelako jest energicznym optymistą, może mu się uda zapełniać hallę zabaw — nowymi pomysłami, o ile mu starczy czasu na to wolnego od zajęć przy budowie bulwarów, które podobno przychodzą do skutku.

Kommissya wybrana w tym celu ułożyła już warunki koncessyi, mocą której przedsiębiorcy przez lat 45 będą mogli użytkować z placów i ulic nad Wisłą w okolicy Maryensztadu i Solca na przestrzeni około 640.000 łokci kwadratowych.

W ciągu lat czterech za to muszą wybudować bulwar, po którym nie nasze wnuki, ale my sami będziemy się mogli jeszcze przechadzać; w ciągu dalszych lat pięciu muszą przeprowadzić ulice i place, zabrukować je, oświetlić, wyłożyć chodnikami, urządzić kanalizacją i wodociągami; następnie w dalszych ośmnastu latach mają wybudować około 120 dużych kamienic i przez tyleż lat następnych mogą ciągnąć z nich wszelkie zyski, nawet za wodę od lokatorów ewentualnych, nie opłacając żadnych podatków.

Po expiracyi umowy, bulwar, niezabudowane ulice i place w nowej dzielnicy Warszawy przechodzą na własność miasta.

Kapitaliści francuzcy podobno zgadzają się na te warunki, sprawa zatem ma widoki rzeczywistnienia, i kto wie czy my, my, dzisiejsi ludzie, nie będziemy jeszcze za naszego życia lokatorami domów przy bulwarach; przyznają się, że bardzo byłbym rad doczekać tej chwili, w której mógłbym się przenieść do takiego mieszkanca z widokiem na Wisłę, z balkonikiem na bulwar, ze stacją tramwayową tuż pod domem, abym jako emeryt literacki mógł wysiadywać przy mojem oknie, patrzeć na uroczy krajobraz i, wspominając dzisiejsze czasy, śmiać się z panów kapitalistów warszawskich, którzy sobie taki interes z rąk pozwolili zabrać.

Nie pierwszy to, i nie ostatni.

Wystąpił ktoś w „Kuryerze codziennym“ z projektem stawiania domków dla robotników na spłatę ratami, jak się to obecnie dzieje w Paryżu, gdzie towarzystwo budowlane wznosi takie donki z ogródkami dla całych rodzin robotniczych, które umarzają koszt tego przedsiębiorstwa i po pewnym przeciągu lat wchodzą w całkowite posiadanie zajmowanej nieruchomości.



Zaledwie się ten pomysł u nas odezwał, już jakiś pesymista z Łodzi w tymczasowym „Kuryerze“ zakrzakał go na śmierć, potępiwszy w czambuł wszystkich naszych robotników, jako niepoinów, leniuchów, niechlujów, którzy nie mają o pracy pojęcia, oszczędzać nie umieją i nie chcą, do porządków nie są przyzwyczajeni i niszczą cudze domy, więc swoich uszanować nie potrafią.

Ten pan z własnego doświadczenia podobno przyszedł do takiego przekonania i stracił wiarę w naszego robotnika, w możliwość jego ucywilizowania i w wykonalność powyższego projektu.

Jak we wszystkim, jest i w tem trochę racji, ale tylko trochę.

Że na ludność roboczą dobrym przykładem, rozumnym rygiorem i energicznym wpływem można oddziaływać bardzo korzystnie, że ją można przyuczyć do zamilowania porządku, czystości i poszanowania własności cudzej, — na to nie zabrakłoby i u nas dowodów.

Miałem sposobność przed kilku tygodniami zwiedzać jedną z większych cukrowni pod Warszawą, w której pracuje do tysiąca robotników w czasie kampanii i przekonałem się, ile dobrego i pożytecznego można zdziałać w ciągu lat kilku, jaki ład można zaprowadzić w tak ludnej osadzie jak można przyzwyczaić do czystości w mieszkaniach i na kurrytarzach robotniczych domków, tak aby śmiecie nie leżało pod progiem, aby ścieżki były codziennie umiecione, aby pod każdym oknem zielenił się ogródek, aby brudna bielizna nie suszyła się na płotach, ale w osobnym miejscu, aby wszystkie drzwi, furtki i bramy były zamknięte, aby wreszcie cała osada przybrała fizyognomię, nie owej tradycyjnej *polnische Wirtschaft*, ale sprawiała wrażenie jakiejś zagranicznej wzorowej fermi.

I wszystko to dało się dokonać bez krzyku, bez gwałtownego przymusu, tylko dobrą wolą i rozumną wytrwałością i praktycznym reglamentem, do którego włożyli się starsi, a w którym wzrosło już nowe pokolenie.

Mając taki żywy i przekonujący dowód na oczach, nie mogę podzielać zdania łódzkiego pesymisty, aby nawet próba się nie udała.

W osadzie, której nie wymieniam umyślnie, aby to na reklamę nie zakrawało, taki dodatni wynik reformy i dobrej organizacji dokonał się w ciągu lat czterech tylko, dzięki energii tamtejszego administratora fabryki, który spróbował zrobić coś pożytecznego i dobrego, i zrobił; a ludność osady jest mu za to wdzięczną i szczerze obowiązana, przekonawszy się sama, że i jej lepiej w warunkach porządku, czystości i ładu, który stał się tam pierwszym obowiązkiem każdego robotnika.

Okazuje się tedy, że to nie jest materyał tak niewdzięczny i do gruntu zepsuty, z którego już nic zrobić nie można, jak to utrzymuje nasz łódzki pesymista w „Kuryerze Codziennym“.

„Jesteśmy strasznie ubodzy, bo nie umiemy pracować“.

Zdanie to wyjąłem z artykułu utalentowanej noweliści, pomieszczonego przed kilku dniami w „Kuryerze Warszawskim“. Ostoja zabrała głos tym razem w sprawie wychowania dziewcząt i przemówiła za praktycznijszym niż dotąd ich kształceniem.

Krótko da się to streścić w tych słowach: należałoby dbać więcej o to, aby nasze córki umiały pracować pożytecznie dla siebie i dla drugich, zamiast starać się o wątpliwą gruntowność erudycją, wynoszoną z pensjonatów, a zatem posyłać je do zakładów rzemieślniczych dla kobiet, w których-by mogły nabywać praktyczniejszej nauki, i w dzisiejszych warunkach zdobywały nader ważny środek bytu i utrzymania.

„Jesteśmy strasznie ubodzy, bo nie umiemy pracować, — powiada autorka; — bogactwa krajowego nie podźwigniemy wprowadzając za pomocą robotek kobiecych, lecz zaprawianie dziecka do pracy od lat najmłodszych jest dźwignią dobrobytu rodzin. Robotka wytwarza systematyczność, porządek, skupienie uwagi, wytwarza zatem najpotrzebniejsze cechy charakteru, które zdobywają się tem łatwiej, im prostszy środek jest do tego użyty. Szeroko rozpowszechniony *Slöjd* est tego najlepszym dowodem“.

Należałoby, aby na pensjonatach naszych

więcej uwagi kładziono na ten przedmiot praktycznego zajęcia uczennic, nie na kształcenie tradycyjnych „talentów“, bez których panna „pięknie edukowana“ obejść się niby to nie może.

„Czasu traci się sporo, koszta znaczne a rezultaty meką zadowolili tylko tę sferę, gdzie kobieta jest panią mniej lub więcej sympatyczną, bez względu na jej wartość, jako jednostki w gospodarstwie społecznym. W sferach zaś, gdzie kobieta dźwiga na swych barkach cały ciężar kłopotów i zajęć domowych, wychowanie takie (czysto pensjonarskie i teoretyczne) jest w wysokim stopniu niepraktyczne.“

Otóż większego racjonalizmu żąda Ostoja w wychowaniu naszych dziewcząt; chciałyby im otworzyć szersze i rozmaitsze drogi praktycznej przyszłości, aby nie musiały rzucać się w jedynym kierunku, jaki dotąd „pannom z pensją ukończoną“ (o ile nie wychodzą za mąż) pozostaje, to jest w kierunku nauczycielskim.

Mamy przecież już dosyć biednych guwernanek, które nie wiedzą, co z sobą począć...

Uwagi Ostoi, dobrze zrozumiane, są bardzo trafne i warto się nad nimi zastanowić w czasie wakacji przed wyborem dla córek mniej zamożnych rodzin rodzaju wykształcenia, które najczęściej ma wartość tylko — papierowego dyplomu.

*Quis.*

## GARBUSKA.

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

— Jakto? nie wyjeżdżałaś i nie byłaś u mnie? — zaczęła znowu Lubska — a, przyznaj sama, że to bardzo nie ładnie z twojej strony! Czy to załoba po mężu? — Fe, wstydź się — do czego to podobne? Oni tego nie wari, — jak cię kocham!

Życie takie krótkie, że nie warto go tracić na smutki, a kobiecie jeszcze krótsze, bo nasze życie to młodość — reszta to już niewiele warta. A ty miałaś takie powodzenie w świecie. Teraz zajmomi dopytują się o ciebie. Czekać-no, kto mi to mówił nie dawno, że cię widział — a! baron Ehn, poczciwy baronek, mówił mi, że ledwie się poznał, ale mimo to znalazł cię bardzo interesującą. On zawsze był twoim wielbicielem. Pamiętasz? na balu akademickim afiszował się formalnie ze swoją miłością dla ciebie, tak, że jego teściowa mała żółtaczki nie dostała. Ale ty jakoś wtedy lekceważyłaś jego zapasy, byłaś dla niego taką, że wciąż żał było biednego barona. Byłabym go chętnie pocieszyła, gdyby chciał być wziąć mnie za pocieszycielkę; ale on do blondynek nie ma skłonności — dlatego może tak mało zajmuje się swoją żoną. O tobie wyraża się zawsze z zachwytem. Wierz mi, źle zrobiłaś, traktując tak nielitościwie barona. Chciała być wierną, jak Małgorzata z Żębocina, swemu mężowi, który nie wart był tego, bo zaniedbywał cię dla jakichś zakulisowych damulek, a teraz opuścił haniebnie i zrainował podobno całkiem — a! niegodziwie!

Mówiła to wszystko jednym ciągiem prawie, trzymając Józję pod rękę i idąc z nią tak szybko, że biedna garbuska nastarczyć im nie mogła i zostawała w tyle. Lubska nie zważała na nią wcale, mając ją za służącą, i niekrępując się wcale jej obecnością, opowiadała Józji różne skandaliczne nowinki z tego świata błyszczącego, motylkowego, na którym się poznały.

Garbuska, dreptając za niemi drobnym kroczkiem, nie słyszała i połowy tej paplaniny; jednak z tego, co jej wpadło do ucha, wyniosła nie

bardzo pochlebne pojęcie i o tym świecie i o tej pani. Nie zadowolniona była wcale ze spotkania się tych pań i radaby była, żeby już jaknajprędzej dostać się do domu — a tu, jak na złość, Lubska zatrzymywała Józję przed każdą wystawą, szczególnie przed magazynami, i wypowiadała swoje sądy i zachwyty o formie i ubraniu kapeluszy, o jedwabnych szlafroczkach, nowomodnych zarzutkach i mówiła to tak *con amore*, że Józja, porwana jej zapałem, zaczęła równie zapalać się do tych eleganckich fatalaszków i wybierać, które ładniejsze, które jej się więcej podobają, jakby rzeczywiście miała zamiar je kupować, jeżeli nie zaraz, to jutro. Dawna elegantka ożyła w niej i ożywiła się wspomnieniami dawnego życia. Godzina blisko zesłała im na takim gapieniu się przed sklepami, i była już blisko dziewiąta, nim doszły do domu.

— Tu mieszkasz? — spytała Lubska z pewnym zdziwieniem, patrząc na niepozorną kamieniczkę.

— Tak, chwilowo — odrzekła nieco zażenowana Józja.

— Pozwolisz, że cię odwiedzę.

— O, nie, nie — zawołała prędko Józja, rumieniąc się na samą myśl, gdyby Lubska zobaczyła ją mieszczącą się w małym, nędznie umeblowanym pokoiku z dziećmi, — mieszkam tak niewygodnie, ciasno. Jeżeli chcesz, to przyjdę do ciebie.

— Zgoda. Doskonale. — Kiedy?

— Mogę jutro.

— A więc dobrze, czekam cię z herbatą. *Au revoir.*

Posłała jej w powietrzu całus — i pobiegła z powrotem w miasto.

XII.

Gdy po tej rozmowie z Luską Józja wróciła do swojego skromnego, ubożego mieszkanka, jeszcze biedniejszem, jeszcze okropniejszem jej się wydało. Z obrzydzeniem patrzyła na te liche, tandemie krzeselka, pokryte drelichem w duże kwiaty, proste politurowane szafy, małe lustro i stół założony robotami, z maszyną do szycia i niską lampką. Krzyki dzieci, bawiących się w pokoju dziadków, zapach cebuli, dolatujący z kuchni, skomlenie piesków Francuzicy i jednostajny głos najordynarniejszego zegara ściennego, — wszystko to drażniło ją i wydawało jej się obrazem ostatniej nędzy. — Ani radość dzieci, które, usłyszawszy, że wróciła, z wołaniem: „mama, mama“, wybiegły na jej powitanie, ani rozchmurzone twarze dziadków, którzy za wnukami wychylili się z pokoju, aby być świadkami radości dzieci, nie zdołały rozpogodzić jej czoła. — Głowa jej zajęta była w tej chwili czem innym. Myślała w czem jutro pokaże się u Lubskiej? — Zaraz po kolacji, przy której siedziała zamyślona, mała co jedząc, otworzyła szafę, komódkę i zabrała się do przeglądania resztek toalety, wyszukując, co by się dało włożyć jutro. Jedwabna czarna sukienka pokazała się jeszcze najlepszą na publiczny występ; trzeba było jednak stanik zacieśnić nieco, — bo zeszczołała znacznie od tego czasu — i poszła z tem zaraz do Anieli, która zajęta była właśnie przykrawaniem sukienek dla dziewczątek, czemu one przypatrywały się z poważnymi minkami bardzo uważnie. Ogromnie im te minki pokrzywiły się, gdy matka, wszedłszy, kazała Anieli odłożyć tę robotę, jako nie tak pilną, a zająć się przerobieniem jej sukienki na jutro, — mało nie popłakały się z powodu zawiedzionych nadziei, że nie będą miały sukienek tak prędko, jak się spodziewały.

Matka nie zwróciła nawet na to uwagi: wróciła do siebie i, otworzywszy pudełko z klejnocikami, jakie jej zostały po katastrofie, wybierała w czem jej będzie do twarzy. Była tak tem zajęta, że nie widziała nawet, kiedy Anielca pokładła dzieci do łóżeczek. Późno w noc siedziała jeszcze przed zwierciadłem, przymierzając różne błyskotki i ozdoby, które chciała jutro zakryć przed światem swoje ubóstwo i przedstawić się ile możności najlepiej. Dokazała pod tym względem niemałej sztuki, bo ubrała się na wizytę



tak, że mogła złudzić pozorami dobrobytu i elegancji. Wyglądała wspaniale; aż dzieci, ujrawszy ją tak ubraną, otworzyły oczka i buzie i zaczęły się dziwić: jaka mama dzisiaj ładna — jak królowa z bajki. — Rzeczywiście, w małych, skromnych pokojkach ta świetna toaleta przypominała trochę bajkę o kopciuszku, wybierającym się na bal, nie brakowało nawet powozu, bo trudno było iść piechotą w takiej toalecie, zwłaszcza, że deszcz padał — musiano więc posłać po doróżkę, w którą Józia wsiadła, odprowadzona przez sieni przez wszystkich członków rodziny, zachwyconych jej „pięknem“ wyglądem.

Gdy odjechała, Anielcia z ciotką zabrały się do szycia sukienek dla dziewczątek, — szły dość długo, bo chciały się doczekać powrotu Józii; ale się nie doczekały.

Wróciła dopiero po północy, gdy one już spały na dobre, znużone pracą.

W kilka dni potem znowu wybrała się do Lubskiej i odtąd te wizyty powtarzały się tak często i przeciągały na tak długo, że Józia była prawie gościem w domu. Do Lubskiej chodziła na obiady, u Lubskiej przepędzała wieczory a parę razy zdarzyło się, że i nocowała tam nawet, nie chcąc zbyt późno przychodzić do domu i budzić śpiących. Musiała jej tam być dobrze, przyjemnie, skoro ją tak ciągnęło; mało dbała o swój własny dom i rodzinę, z każdym dniem stawała się dla swoich najbliższych coraz bardziej obojętną i obcą, siedziała pomiędzy nimi jak lunatycka, myśląc o czym innym. Nawet przymilanie się dzieci nie zdołało myśli jej, gdzieś daleko błądzących, przywołać do domowego ogniska, ledwie, że je czasem dotknęła chłodnymi ustami lub pogłaskała, częściej burczała je i strofowała o byle co. Drażniły ją ich krzykliwe zabawy. Dawniej nie słyszała tego, bo dzieci, odgradzone od niej kilkoma pokojami, zostawały zawsze pod opieką boni i nianiek. Teraz, gdy je miała ciągle przy sobie, nie mogła znieść tych hałasów. Szczególniej rano niecierpliwiła się, że ją budziły wczesną, podczas gdy ona lubiała się długo wysypiać: Anielcia więc, aby jej dogodzić, zabierała dzieci na noc do siebie, sama je rano myła, czesała, ubierała, robiąc to wszystko pocichu, nakazując dzieciom, aby się cicho zachowywały, żeby matki nie obudzić. Wskutek tego dzieci coraz bardziej przyzwyczajały się do ciotki, do niej udawały się z każdą potrzebą, skargą, prośbą, podczas gdy matki bały się tylko, żeby ich o co nie burczała, i dlatego schodziły jej zawsze z oczów. Nie czuła się jednak Józia z tego powodu wcale nieszczęśliwą, owszem było jej z tem swobodniej. Do dzieci nie miała nigdy wielkiego przywiązania, może dlatego, że ich nie wychowywała sama, a teraz były dla niej nieznośne, bo przypominały jej niegodziwego męża, który ją zrujnował, porzucił, oddał na pastwę nędzy i wstydu. Dawno już zobojeźniała była dla niego, teraz nienawidziła go, i wszystko, co go przypominało było jej wstrętnem. Część tej nienawiści dostała się i dzieciom, które pogardliwie nazywała „jego dziećmi“. Małeństwa cierpieć musiały za winy ojca. Byłaby je chętnie oddała rodzicom męża: niechby oni trapił się ich wychowaniem; ale nie wiedziała, gdzie ich szukać. Teś bowiem, niedługo po skandalicznej ucieczce syna, podał się do emerytury i wyjechał całkiem z miasta. Józia więc musiała sama dźwigać ciężar wychowania dzieci, co ją niesłychanie męczyło i trapiło; — nie dlatego, że zajmować się nimi musiała, bo pod tym względem nie zadawała sobie wiele trudu i wyręczała ją Anielcia; ale, że dzieci te były dla niej kulą u nogi, krępowały jej swobodę. Gdyby nie one, mogłaby wyjechać w świat, szukać sobie innego losu — słowem być wolną. Nieraz z przykrością myślała o tem, a zresztą mało zajmowała się dziećmi.

Największym zajęciem jej teraz było: z resztek toalety, która jej została ze świetniejszych czasów, wymyślać coraz to nowe kombinacje ubrania się; tym sposobem nie potrzebowała ciągle w jednym i temsamem prezentować się u Lubskiej. Cały czas, jaki przepędzała w domu, obracała na przygotowania do

wizyt — odświeżała i przerabiała suknie, rozumie się, z pomocą ciotki i Anielki, bo sama nie umiała tego, przypinała coraz inne kwiaty, koronki, dawała naprawiać i odnawiać stare branzolety, odczyszczala łańcuszki, kolczyki, wycierała bułką zabrudzone rękawiczki — smarowała się goldkremem, zakręcała na noc grzywkę — słowem: zaczęła teraz bardzo dbać o siebie i stroić się, o ile mogła w swoim położeniu.

Anielka z podziwem i przestachem przypatrywała się siostrze, nie mogąc pojąć tego, jak można tak żyć, nie kochając nikogo prócz siebie, nie zajmując się nikim, tylko sobą. Nie rozumiała tego, bo dla niej największym szczęściem było zajmować się innymi. Gdy jej się trafiło kupić dzieciom albo rodzicom coś takiego, czem wiedziała, że im przyjemność zrobi, to ją to więcej cieszyło, niż gdyby dla siebie samej coś kupowała. Wracając do domu, myślała zawsze o tem, żeby coś przynieść, zrobić temu lub owemu jaką miłą niespodziankę.

Józia nigdy podobnych pragnień i myśli nie miała; jeżeli zatrzymywała się przed sklepami, to po to tylko, aby zaspokoić własną ciekawość, i wdychać wtedy, że tego lub owego kupić sobie nie może. Anielcię takie samolubstwo dziwiło niezmiernie a zarazem martwiło.

Co ją także niepokoiło to to, że nieraz widywała tego pana, który, raz ukłonił się był Józii, a którego nazywano baronem, kręcącego się koło ich domu po ulicy, jakby czekał na kogo. Przypomniała sobie zaraz, co Lubska mówiła wtedy, gdy spotkała się w sklepie z jej siostrą, o uczuciach, jakie ten pan miał dawniej dla niej, i dlatego obecność jego tu, blisko ich domu, wzniewiała w jej sercu pewne obawy i podejrzenia.

Podejrzenia te nabrały większej jeszcze wagi i pewności, gdy zobaczyła jak raz ten pan odwoził ją swoim powozem z wieczoru od Lubskiej i zegnając się z nią przed przed bramą coś mówił do niej po-francuzku. Anielcia nie rozumiała, co mówił; ale ton jego mowy nie podobał jej się wcale, wydawał jej się zanadto poufałym, jak na zwyczajną znajomość.

Więcej jeszcze ją gorszyło, że ten pan baron pozwał sobie przysyłać siostrze bukiety, cukierki w eleganckich bombonierkach, a czasem i pachnące liściki przez wygalonowanego lokaja w zółtej liberyi. Zbierała się na odwagę powiedzieć Józii, aby więcej zważała na swoje postępowanie i nie narażała się bez potrzeby na ludzkie gadanie; ale Józia sama jakoś, ku wielkiej radości garbuski, bez jej przestrogi i uwag zmieniła naraz zupełnie tryb życia: przestała bywać u Lubskiej, nie wychodziła nawet całkiem z domu i nie przyjmowała od barona ani listów ani żadnych przesyłek. Ile razy zjawił się lokaj, kazała mówić, że jej niema w domu. Chciała, zdaje się, zerwać wszelkie stosunki z tymi ludźmi, a natomiast zaczęła więcej zajmować się dziećmi, domem, wzięła się nawet do szycia na maszynie, choć nie miała w tem najmniejszej wprawy. Opanował ją jakiś gorączkowy zapal do pracy, naraz zachciało jej się szyć, gotować, prasować, pracować nawet, choć o tem najmniejszego nie miała pojęcia i więcej napsuła, niż zrobiła; ale mimo to nie ustawała w pracy, jakby się chciała tem otumaniać, zagłuszyć jakiegoś myśli. Chwytała się najrozmaitszych zajęć, jak rozbitek desek pływających, by się nimi ocalić od śmierci w przepaściach morskich.

Kiedy ją praca zmęczyła, a męczyła ją bardzo prędko, siadała na ziemi przy dzieciach, chciała się nimi bawić, pieścić się jak dobra matka; ale to jej także nie szło; dzieci traktowała jak lalki, któremi się w dzieciństwie bawiła, a w pieszczołach jej nie było ciepła prawdziwej miłości. Gdy wzięła czasem którą córeczkę do siebie, tuliła, pieściła, całowała, powtarzając: „moje ty śliczności, moje złoto, dyamenty“ — widać było, że to robi bezwiednie, jakby nieprzytomna, że myśli jej błądzą gdzieś daleko w tej chwili, a dziecka używała tylko, jako tarczy, którą się broniła przed jakimiś złymi pokusami, jak to bywa w bajkach ludowych.

Dzieci instynktowo czuły tę nieszczerłość pieśczęt matczynych i dlatego nie lgnęły do niej

bardzo; przychodziły posłuszne, gdy je wołała ale skoro tylko spostrzegły, że ten gwałtowny napad czułości minął u matki, usuwały się niezmiernie od niej z pewną radością, że się to już skończyło, że będą znowu wolne.

Anielcia, widząc to, starała się obudzić w dzieciach więcej przywiązania do matki, a znowu w matkę wmawiała, że dzieci bardzo ją kochają; tylko, że mają za mało do niej śmiałości więc też nie okazują jej tego. Chciała w ten sposób zacieśnić i utrwalić węzły rodzinne, ale jej się to nie bardzo udawało z powodu zmiennego nadzwyczaj humoru siostry i niespokojnego jej usposobienia, które z szalonej wesołości przerzucało się nagle w apatyczną odrętwiałość albo przechodziło w gwałtowne rozdrażnienie. Raz całowała i pieściła dzieci, że zdawało się, zdusi je w swoich uściskach, to znowu odpychała je od siebie ze wzgardą albo zachowywała się względem nich, jakby jej wcale nic nie obchodziły; nieraz, gdy siedziała najspokojniej w rodzinnem kółku, szyjąc, nagle coś ją podrzuciło, zrywała się, rzucała w kąć robotę i chodziła po pokoju, łamiąc palce w rozpacz i wdychając ciężko, jakby się czuła bardzo nieszczęśliwą.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## PASTUSZEK. (\*)

Leci w górę skowronek,  
Zieleni się już zboże;  
Coraz dłuższy już dzionek,  
Co raz milej na dworze.  
Niech jaskółka przyleci,  
Pszczółka siądzie na ulu,  
Nie będę wam już dzieci  
Wtenczas bawił — matulu.  
Niech-no ptactwo wśród krzaków  
Swoję zacnie gawędę —  
Nie będę wam ziemniaków  
Więcej strugał, nie będę!  
Niech-no łupek (\*\*) załupie,  
Niech kukulka zakuka, —  
Niech mnie wtenczas w chałupie  
Matulenka poszuka!

Niech na biczyk, na długim,  
Skręcę wszystką tę przedzę...  
Swe bydełko na ługi  
Popędzę ja — popędzę!

A gdzie! lisy czerwony!  
Gdzie granicha graćlawa!  
Depcesz z żytem zagony,  
Myślisz, że to murawa?

Nie dam ja wam zejść z drogi,  
Nie dam deptać po życie;  
Macie wielkie wy rogi,  
Lecz się bata boicie...  
A mam ci go — mam przecie;  
We trzy skrętki sześć pędzi;  
Jak nim zatnę po grzbiecie,  
To was pewno poswedzi...

(\*) Wiersz ten otrzymaliśmy od Adama Pługa wraz ze wskazaniem osobistości autora, który na utworze swoim podpisał się był zrazu *Frenolestes*. Autorem tym jest pan *Ignacy Markowski*, czeladnik piekarski w Raciążu w Płockiem; wyzwolony w Lublinie, do nazwiska swego dodaje on „Lubelczyk“.

(\*\*) „Łupek“ — dudek.







pod Kollinem w Czechach, najznaczniejsze dotąd pstragarnie rozciągały się na 10.000 i 12.000 metrów kubicznych, w Potoku gospodarstwo rybne objęło 132 000 metrów kubicznych przestworów wodnych. P. Girdwojn podzielił je na trzy strefy, w których odrębnie miały być hodowane ryby: w pierwszym pstrągi okazałe strumienne, jeziorowe, amerykańskie, a wraz i łososie kalifornijskie i sieje, w drugim węgorze, w trzecim karpie polskie i królewskie, liny i brzany, a na pokarm rybam drapieżnym karasie, płocie, ukleje i sandacze.

Szalone burze zniweczyły rychło z wielkim nakładem prowadzone roboty, zniechęcając spółkę, która je opłacała. Skończyło się na tem, iż odstąpiono właścicielowi Złotego Potoku napozór chybione przedsięwzięcie. Podjęte w skromniejszych, rozmiarach lecz w praktyczniejszy sposób, roboty daleko dziś pomyślniejsze dają wyniki, a gospodarstwo rybne Złotego Potoku jest dziś jednym z najbardziej wzorowych i najdochoźniejszych w kraju. Pstrągi mianowicie hodują się znakomicie, i krociami zaludniają te wody pełne życia, niezające sennego uspienia i spokoju.

Jedną jeszcze rzecz dodaje ponęty tej uroczej siedziby: każdy powrót w okolice Złotego Potoku uwydatnia poczyniony od ostatnich odwiedzin postęp, umiejętną pracę i rozsądną zabiegliwość. Staranne dróg obsadzenie, artystyczne utrzymanie ogrodów, porządne zabudowania gospodarskie, roztropne lasu prowadzenie,—odbija się w kwitnym stanie majątku, który niegdyś, zbyt częstą odmianą właścicieli, narażony był na zaniedbanie.

Starożytna to zresztą osada, posiadająca własną, a dawną historią. Siedziba ta Odrowążów, którzy tu obszernie posiadali dzierżawy, jednemu z nich, Bartoszowi ze Sprowy, zawdzięcza erekcyą parafialnego kościoła, w końcu XIII wieku. Długosz podaje jako właścicieli Złotego Potoku w XV-ym wieku czterech braci Szreniawitów. W XVI stuleciu już tu siedzi Jan Silnicki, który starożytną świątynię pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela zamienia na zbór protestancki i oddaje w administracyą Wincentemu Zaprzawcowi. Ale wrychle Koniecpolscy z założonego przez się w XVII w. Janowa sięgają po własność Złotego Potoku, aby ją przekazać Potockim, których zastępuje książę Ernest Biron, założyciel miejscowego pałacu, o ciężkich i niezgrabnych kształtach, okupionych wyborem wewnętrznym rozkładem. Przez czas krótki siedzieli tu jeszcze Skarżyńscy, od których prawa własności odkupił 1852 generał Wincenty Krasiński, w mniemaniu, iż malowniczością położenia i bliskością granicy zniewoli syna do osiedlenia się w kraju. Ale orzeł poezji nie dał się ująć i uwiezić. Krótkim też bywał pobyt Zygmunta Krasińskiego w tych stronach. Ilekroć tu zajrzał, to zamiast w pałacu, zamieszkiwał w przyległej oficynie, owitej zielenią, z poetycznością właściciela dawnym dworkom. W tym dworku przy pałacu wstrząsniona fantazyą wieszczą szukała uspokojenia chwilowego i zapewne je znajdowała wśród ciszy leśnej, zaledwie szmerem wód przerywanej. Niejedną pamiątką, odnoszącą się do „bezmiennego poety“, podziśdzeń zachowała się w miejscowym pałacu. A przedewszystkiem wart tu widzenia najlepszy portret Zygmunta Krasińskiego, pędzla Ary Scheffera, tego niezrównanego mistrza w malowaniu dusz. Można bowiem jego obrazem zarzucić techniczne wady kolorytu lub rysunku, lecz niepodobna nie uznać głębokości uczucia i wyrazu odwzorowanych postaci. Zygmunt Krasiński patrzy tu z ram szeferskiego portretu całą duszą swoją, całą istotą, jaką była. A portret ten nie jest jedyną ozdobą ścian pałacu. Są tu i inne oryginały czy kopie rodzinnych wizerunków, jest cudny portret księżnej Zofii z Branickich Odescałchi, pędzla Winterhaltera, są całe grupy działwy poety, przedewszystkiem pogasłej w pełni młodości i wdzięku. Żalobny cień pada na te główki dziecięce, tak przedziwnie piękne w oprawie złotych kędziarów. Przyjaciół domu Krasińskich, p. Józef Brodowski, niejedną próbkę swego talentu tu zostawił. Między innymi uderza

większy obraz jego pędzla, przedstawiający panią Elżę Krasińską na koniu, eskortowaną przez teścia, generała Wincentego, oraz biskupa Tadeusza Łubińskiego, który, pomny na służbę wojskową, mimo duchownej sukni, rad i w późniejszych latach dosiadał rumaka. Matka poety, Marya z księżat Radziwiłłów Krasińska, wychyla się z ram portretu, prawdopodobnie malowanego przez Wańkowicza, zaciekawiając przechodnia sfinxowym uśmiechem i chłodnym spojrzeniem bystrych oczu. Słynne z urody siostry Branickie, istne trzy gracye o różnym wdzięku i krasie, występują tu w rozmaitem ugrupowaniu; tu hr. Krasińska tuli dzieci swe do łona, w znanym Winterhaltera obrazie, tam, będąc jeszcze panną, wraz z ks. Zofią Odescałchi w powiewnym stroju epoki—zda się nam uosabiać okres niepowrotnego romantyzmu.

iRt.

## Kronika działalności kobiecej.

— Liczba kobiet zajmujących w sklepach i zakładach handlowych w Petersburgu miejsca subiektów mężczyzny wzrosła znacznie. Ze stu miejsc obsługiwanych niegdyś wyłącznie przez mężczyzn zajmują obecnie kobiety najmniej piętnaście.

— Maryjski Instytut w Warszawie liczył z końcem ubiegłego roku szkolnego 239 uczennic; w tej liczbie 155 prawosławnych, 14 luteranek i 1 mahometanka.

— Zmarła przed kilku miesiącami ś. p. kasztelanowa z Bratoszewskich Kossowska, poczyniła ostatnią wolą swoją znaczne zapisy na rzecz dobra ogólnego. Posiadając majątku 600,000 rs. w listach zastawnych i w złocie, przeznaczyła dla Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności 22.500 rs., dla Zakładu Paralityków 22.500 rs., na stypendya dla uczniów gimnazjum realnego w Warszawie 30.000 rs., dla dwóch kościołów w Warszawie po 450 rs., na odnowienie kaplicy w kościele Opieki Św. Józefa (po-karmelickim) na Krakowskim Przedmieściu 1.500 rs.

— Ś. p. Celina z Niemiryczow Bielińska zapisała, umierając: Warszawskiemu Towarzystwu Dobroczynności 10.000 rs., dla Biura Nędzy Wyjątkowej 5.000 rs., dla Domu Paralityków w Warszawie 5.000 rs.

— *Kaliszanin* pisze, że wdzięczne mieszkanki Kalisza czynią bardzo wiele dla dobra ogólnego. Przejrzawszy listę opiekunek Kaliskiego Towarzystwa Dobroczynności, gospodyń Tanich Kuchni, opiekunek ochron. przekonać się można, że znajdują się tam niemal wszystkie kobiety, należące do klasy inteligentnej. Dawniej oddawało się więcej zabawie; obecnie „każda z pań poświęca czas, pozostający od pracy domowej, dobru ogólnemu“. Ochrony, Tanie Kuchnie, Sale Kobiece powstały tam z inicjatywy kobiet.

— We Francji istnieje od lat dawnych, bo od pierwszych chwil panowania Ludwika Filipa, świątobliwe miłosierne stowarzyszenie kobiece: „Association des dames du Calvaire“, oddające się obsłudze szpitali dla nieszczęśliwych dotkniętych ranami nieuleczalnymi. Zakładów, mieszczących miłosierne tak nieszczęśliwych, znajduje się we Francji dwa: w Paryżu i w Lyonie. Stowarzyszenie to zawiązała najpierw w Lyonie kobieta uboga, Marya Garnier, wdowa, opatrując litościwie nieszczęśliwą staruszkę, przykutą do łóżka z powodu ran w nogach, powstałych z roży. Mieszkała ona w jej sąsiedztwie, lecz wkrótce poczciwa kobieta dowiedziała się o podobnie cierpiącej biedaczce i namówiła znajomą swoją do zajęcia się nią miłosierne, i to stało się początkiem stowarzyszenia, które wziął pod opiekę

swoją arcybiskup Lyonu, kardynał de Bonald. Rozwinęło się ono bardzo prędko i szczęśliwie; obecnie składa się z czterech oddziałów: 1) wdów, które w dzień i w nocy przychodzą z miasta na zmiany pielęgnować chorych, spełniając służbę czuwania nad nimi i opatrywania ich ran; 2) wdów, które mieszkają stale w szpitalu i cały swój czas poświęcają obsłudze chorych; 3) wdów, które kwestują na utrzymanie szpitala; 4) z członków nakoniec, którzy, nie biorąc czynnego udziału w poświęconem dziele tego miłosierdzia, przyczyniają się stale płaceniemi składkami do utrzymania zakładu. Biorąc sobie za wzór świątobliwe to stowarzyszenie, dwie mieszkanki Paryża, wdowy: Souchet i Lechat, powzięły myśl zawiązania paryskiej filii stowarzyszenia, która rozwinęła się bardzo szczęśliwie i nowa ta gałąź „Association des dames du Calvaire“ spełnia w stolicy Francji swe świątobliwe działanie.

— Leon XIII, przyjmując na audyencji pewną szwajcarkę, zapytał: czy jest matką, i jak chowa dzieci swoje? Gdy wskutek otrzymanej odpowiedzi dowiedział się, że pani ta ma córkę, która pobiera nauki w domu, pochwalił jej to bardzo gorąco, wygłaszając prawdziwie święte słowa, że „dom rodzicielski jest najlepszym miejscem wychowywania się dziewcząt“ i dodając, że równać się z nim nie mogą najlepsze nawet zakłady edukacyjne, bo „nie są zdolne dać dziecku na drogę życia tego, czem jedynie matka może je obdarzyć. Ubogiej, która wyrasta na dziewicę pod tkliwą opieką macierzyńską, może zaszłości najbogatsza dziedziczka, chowająca się na pensyi“. Ojciec Święty dodał, że nie należy matkom oddawać z domu córek przed ukończeniem lat piętnastu, to jest przed czasem, gdy uczucia otrzymują już potrzebny kierunek, a zasady moralne i religijne zakorzenione są dostatecznie.

— Znanie czytelnikom naszego pisma angielskie stowarzyszenie, a raczej bractwo miłosierne: „Armia zbawienia“, działa najskuteczniej przez kobiety, jak to stwierdzają pisma angielskie, oraz szwajcarskie i francuskie, gdyż w tych-to krajach oddziały armii prowadzą obecnie wojnę ze złem: z bezreligijnością i z rozluźnieniem węzłów tego porządku społecznego, który nazywamy moralnością. Armia działa w dwóch kierunkach: wydzierając czynnie zepsucie zaplątanych w jego sieci, zwłaszcza młodzież, dziewczęta, i przemawiając do serc, do umysłów przez kazania. Przemawiają tu zarówno kobiety, jak mężczyźni. Kobiety, zwykle nieprzechodzące lat średnich, w szafirowych mundurach, to jest w sukni z kaftanikiem o srebrnych guzickach, w szafirowym okrągłym kapeluszu, słomianym w lecie, filcowym w zimie, przemawiając na estradzie, zwracają się głównie do zadań rodzinnego, domowego życia, do jego ważności i związku z moralnością ogólną. Łączą się z tem zwykle koncerty, instrumentalne i wokalne, ściągając i takich, którzy choć nie szukają tu nauki, znajdują ją mimowoli. Dla błękitnej barwy mundurów, nazwano w Paryżu uczestniczki Armii Zbawienia „niebieskimi pannami“, a działają one obecnie w Quartier Latin, na bulwarze św. Michała, roznosząc i rozdając bezpłatne numera czasopisma wydawanego przez stowarzyszenie: „Le Salut“. Snują się one tam, zwłaszcza porankiem i wieczorem, gdy praca dzienna ustaje już, wśród młodzieży i ludności rozmaitej tej dzielnicy Paryża. Poważne, spokojne, nie chcą słyszeć tego, co nieraz do nich mówią i rozdają obok „Le Salut“ lub broszurek, wydawanych przez stowarzyszenie, bilety wejścia na zebrania wieczorne, odbywające się w pobliżu Wielkiej Opery, przy ulicy Auber. Wielką przynętą dla ciekawości ludzkiej jest młoda i bardzo wdzięczna córka generała Booth, podniesiona do godności marszałka Salutystów na Francją. Niezmiernie delikatna, jasna blondynka, wysmukła, z bujnym włosom, z dużemi błękitnymi oczyma, o rzęsach i brwiach ciemnych, jest też i wymowną, poetyczną, zdolną nieraz do gorących uniesień zapału. Głos ma bardzo miły, muzykalny, brzmiały dźwięcznie, gdy ją unosi wzruszenie. Ma lat dwadzieścia i jest już od lat dwóch mężatką, jest matką ślicznego kilkomiesięcznego dziecka, dziewczynki, a umie tak dobierać się do



# JUSTYNÓWKA

OBRAZEK Z ŻYCIA LETNICH MIESZKAŃCÓW

W MROZACH

przez

BOGUMIŁA HOFFA.

I.

Było to w połowie Lipca. Przez cały dzień na niebie nie ukazała się ani jedna chmurka. Słońce stało ku ziemi promiennie rozżarzone niezłagodzone najmniejszym wiatrem.

W lasach cisza panowała zupełna. Ani szelest liści, ani nawet śpiew ptaków, tych miłych mieszkańców naszych gajów, nie przerwał grobowego milczenia wieczoru.

W małej dolinie dziewiczego lasu, daleko od mieszkań ludzkich, na mchem zasłanej ziemi, pod olbrzymim świerkiem, leżała więcej, niż siedziała, młoda kobieta w żałobie.

Przy niej na ziemi leżał kapelusz słomkowy z dużym rondem i welonem czarnym.

Zajęta była czytaniem tak dalece, iż nie zważała ani na zniknięcie promieni słońca i coraz-to ciemniejsze cienie, ani na otoczenie cichego, uroczego lasu.

Nie przeczuwała, że cisza była zwiastunem burzy, a ciemność wywołały czarne chmury.

Nie miała innych uczuć i myśli nad wynikające z treści książki, której właśnie czytała ostatnie kartki.

Już wierzchołki drzew poruszyły się i szelest liści, z początku słaby, wzrastał z każdą chwilą. Zdaleka już słychać było głuchy grzmot.

Ona czytała najspokojniej. Nareszcie skończyła.

Książkę zamknęła i opuściła obok siebie na ziemię.

— Nie ruszyła się,—tak była przejęta tem, co dopiero przeczytała.

Nagły huk piorunu zbudził ją z zamyślenia.

Podniosła oczy i ujrzała się prawie w ciemności.

Przelekniona, zerwała się, podnosząc kapelusz.

W tem jasność błyskawicy i następny grzmot przeraziły ją tak, że na chwilę straciła prawie przytomność.

Chciała uciec — lecz w którą stronę?

— Zbłądziłam! Mój Boże! — wyrwało się jej z piersi.

Zaczęła biegać bez namysłu, lecz wkrótce zatrzymała się raptownie. Zdawało jej się, że ktoś zachodzi jej drogę.

Przerażenie i trwoga rosły a w rozpacz, nie zważając na kierunek, odwróciła się od mniemanego widma i uciekła w przeciwną stronę.

Biegła prawie bez przytomności, to pod górę, to z góry na dół, omijając z trudnością drzewa i krzaki.

Nie spostrzegła dołu, tuż obok wywróconego przez wichur drzewa, i wpadła głąb.

Wydała okrzyk rozpaczliwy.

Nie mogła wydostać się z dołu, bo, choć nie był bardzo głęboki, brzegi miał strome.

Tuż nad sobą usłyszała głos mężki:

— Proszę podać mi rękę, wyciągnę panienkę.

W pierwszej chwili przeleknęła się, lecz instynkt zachowawczy wziął górę i wyciągnęła rękę do stojącego nad nią człowieka.

Dopomógł jej też blask błyskawicy, oświetlający w tej właśnie chwili właściciela owego, dla niej zbawczego, głosu.

Był to bowiem młody człowiek, powiejsku ubrany.

Silną ręką wyciągnął ją z dołu i zapytał:

— Czy panienka nic nie zgubiła?

— Ach, kapelusz — i książkę.  
Chłopiec skoczył do dołu i przy blasku częstych błyskawic podniósł kapelusz.

— Książki tu nie widzę.  
— To nic nie szkodzi — odezwała się po chwili — uciekajmy! — Czy możesz wyprowadzić mnie z lasu?

— Dla czego nie? Chodźmy tu na lewo.  
Młoda kobieta pełna zaufania, poddała się przewodnikowi, którego nawet poprosiła o podanie ręki, bo w przerwach błyskawic panowała zupełna ciemność, a przeszkody w lesie, jak gałęzie, na ziemi leżące kamienie i miejscami małe krzaki, nie pozwalały jej biedz narówni z przewodnikiem.

— Kto jesteś, przyjacielu? — zapytała się.

— Jestem gajowym w tym lesie.  
— Ach, jakie to szczęście, że cię spotkałam, bo inaczej zginęłabym tu w burzy wśród ciemnego lasu, — nie wiedząc dokąd się schronić!

— Uważałem to.

— To może ty byłeś, którego spotkałam?

— Tak panienko.

— A ja się ciebie tak zlekkałam, — sądząc, że...

— Panienka sądziła, że ja zły człowiek, prawda?

— Ach, już nie wiem, co sądziłam, lecz śpieszmy się, żeby już raz wyjść z tego zaczarowanego lasu. Proszę cię, prowadź mnie jaknajbliższą drogą.

— A gdzie panienka mieszka?

— W Mrozach.

— Dobrze, ale w której chałupie?

— Numeru nie wiem; ale gospodarz nasz nazywa się Sitowski, od stacyi na lewo.

— Już wiem.

Młody gajowy szedł rażno naprzód, a jego towarzyszka postępowała za nim w pośpiechu.

Już spadły pierwsze krople deszczu, a błyskawice i pioruny, coraz silniejsze, przstraszały młodą kobietę.

Gajowy zatrzymał się chwilę.

— Nie, — tylko nie wiem czy panienka potrafi przejść przez bagno. Bo jesteśmy już przy brzegu lasu, ale błota tam są wielkie.

— Niema innej drogi?

— Jest, ale trzeba obejść daleko do mostku.

Deszcz padający już mocniej, dopomógł jej się zdecydować.

— Pójdźmy najkrótszą drogą.

— Sprobujmy.

Łatwo było to chcieć, lecz wykonanie było nad siły delikatnej mieszczanki. Ugrzęzła po kostki w błocie.

— Ach, nie mogę iść dalej!

— Gdyby panienka pozwoliła, tobym ją przeniósł.

— Czy uniósłbyś mnie?

— Sprobuję. — I silnemi ramionami podniósł ją. Ona objęła jego szyję i czuła się zupełnie bezpieczną.

— Czy nie jestem ci za ciężką?

— O nie — panienka wcale nie ciężka. — I chłopiec przeszedł błota bez przeszkody i nie opuścił swojej towarzyszki na ziemię, choć dostał się już na twardy grunt.

— Zdaje mi się, że tu już nie bagno?

— Już przeszliśmy.

— Czemu nie puścisz mnie na ziemię?

— Zaraz panienko, aż przejdziemy plant kolei, bo wiatr za silny: panienka nie mogłaby się utrzymać na nogach.

— Chwała Bogu, żeśmy już wyszli z lasu!

— Ztąd już blisko do waszego mieszkania.

Gajowy przeszedł przez szyny i opuścił swoje brzemie ostrożnie na ziemię.

Deszcz lał już prawie strumieniami. Młoda kobieta przemokła, ledwie, że postąpić mogła naprzód, wiatr bowiem silny dał jej w twarz a ścieżka, wijąca się przed nimi, była ślizga. Gajowy wziął towarzyszkę swoją w pole i dopomagał jej do śpiesznego chodu.

Dążąc tak ścieżką pod górę, ujrzeni wreszcie przed sobą oświetlone okna.

— Co to za światła? — zapytała.

— To już wasze mieszkanie.

I w kilka chwil dostali się pod werendę



domu, gdzie kobieta starsza przyjęła ich okrzykiem radości. Objęła przybyłą ramionami przyściskała ją do piersi, szlochając z radości.

— Moja najdroższa Justynka, moja Tyncia kochana, — moja jedyna uciecha! Co się z tobą działo?

— Nic tak okropnego, moja mamo kochana!

— Już w rozpacz byłam, nie mogąc się cię doczekać, a tu burza, ciemność i deszcz. Wysłałam już i Kasię i gospodarza, aby cię odszukali! — Ach, Bogu dzięki, że cię znów mam przy sobie! — Ale tyś przemokła, idź czempredziej przebrać się.

— Dobrze, mameczko. Pójdę włożyć suche ubranie, — ale tymczasem przedstawię ci mego wybawcę, tutejszego gajowego. Jemu zawdzięczam wiele. I podając chłopcu rękę, dziękuję ci, — rzekła serdecznie. — Zatrzymaj się chwilę, powrócę zaraz. I Justynka, pocałowawszy matkę w rękę, znikła w głębi mieszkania.

Tymczasem jej matka, ocierając łzy radości, przystąpiła do gajowego i podała mu rękę, którą z uszanowaniem ucałował.

— I ja ci dziękuję, mój przyjacielu! Zapewne nieroztropnie zadaleko puściła się córka, może i zbłądziła w lesie, a ty ją tam zastałeś i przyprowadziłeś do domu? Prawda?

— Tak, pani.

— Ale siadajże, przyjdę zaraz.

Matka Justynki, pani Hubertowa, zostawiając gajowego na werendzie, poszła za córką w głąb mieszkania.

Burza tymczasem rozszalała się na dobre. Błyskawice i grzmoty ze spotęgowaną siłą następowały po sobie, a wiatr gwałtowny rzucał strumienie deszczu na ściany budynku.

Werenda, choć nie wystawiona na bezpośrednie działanie burzy, bo przybudowana do domu od strony południowo-wschodniej, nie mogła długo oprzeć się strumieniom wody spadającym z gwałtownością na dach, przez który łać zaczęło coraz gęściej.

Lecz chłopiec nie zważając na spadające krople, siedział spokojnie na stołku wprost drzwi oświetlonego pokoju.

Jego oczy ciekawie zwrócone były do wnętrza pokoju, gdzie duża lampa, w środku na stole stojąca silnie wokoło siebie rzucała światło.

Nie było tam nic nad zwykłe meble i sprzęty a także powszechnie używane w możniejszych domach ozdoby, jak: dywany, franki, portjery, nakrycia na stoły i t. p. rzeczy. Ale dla syna wsi było to coś nieznanego, zwłaszcza przy oświetleniu niezwykłym lampy przyćmionej trochę różową osłoną.

Z przyległego pokoju wyszła nareszcie pani Hubertowa i oglądając się stanęła na werendzie.

— Jesteś tu mój przyjacielu?

— Jestem, wielmożna pani.

— Pójdź do pokoju, bo zmokniesz tutaj.

Gajowy wstał i postępując za panią Hubertową, wszedł do pokoju, dla niego tak ciekawego.

— Czy burza jeszcze nie ustala? — zapytała się pani Hubertowa.

— Nie, proszę pani.

— Córka opowiadała mi w jak przykrem znalazła się położeniu, — bo gdyby nie ty, — to nie wiem, co by się było z nią stało. Ty ocaliłeś mi moją jedyną pociechę, jaka mi została na tym świecie po nieboszczyku mężu. Licz na moją wdzięczność! — Przy tych słowach podaje mu znów rękę, którą on całuje.

— Ale siadajże tu na krześle. Zobaczę, czy już ludzie wysłani powracali.

Pani Hubertowa wyszła.

Chłopiec nie wiele miał czasu zajmować się ciekawymi dla niego sprzętami pokoju, bo drzwi szybko otworzyły się i Justynka weszła do pokoju, a śpiesząc do zdumionego, podała mu obie ręce, które ten ujął nieśmiało w swe dłonie.

— Dzięki ci, mój przyjacielu! — rzekła.

W zmienionej toalecie czarnej na jasne ubranie domowe, nie poznał w pierwszej chwili osoby, z którą wyszedł z lasu.

Ciemne rozpuszczone bujne włosy zasłaniały też po części twarzyczkę, z której wymowne, zwrócone na niego, duże ciemne oczy, dziwne wywarły na nim wrażenie.

Pobiegła po drugie krzesło i, siadając blisko niego, odezwała się:

— Teraz dopiero mogę ci się przypatrzeć przy oświetleniu. Wcale nie jesteś takim strasznym, za jakiego cię miałam w pierwszej chwili spotkania w ciemnym lesie.

— A bo tam wszystko w ciemności inaczej się wydaje.

— Nawet nie wiem jeszcze, jak się nazywasz.

— Jan, proszę pani.

— Ale, czy i ty nie przemokłeś?

— To nic.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu jednocześnie z ogólnym zjazdem lekarzy odbędzie się specjalny zjazd psychiatrów.

— Na wystawie środków przeciw-ogniowych w Moskwie wystawiony będzie przez Towarzystwo Techniczne szereg budowli wiejskich, zabezpieczonych odpowiednio od ognia w różnych typach.

— Wystawa stała prób i wzorów w Muzeum Przemysłu, otwarta jest w niedzielę od g. 10-ej do 2-ej, w dni powszednie od 10-ej do 6-ej. Przybyło wystawie wiele okazów nowych: wyroby skórzane, nożownicze, cegła ogniotrwała.

— Wystawa ogrodnicza w Łodzi nie odbędzie się w roku bieżącym, jak donosi zarząd Warszawskiego Towarzystwa Ogrodniczego.

— Po zamknięciu wystawy Czeskiej w Pradze, urządzona będzie wystawa ruchoma tam wystawionych obrazów malarzy czeskich. Odbędzie się ona w Wiedniu, a następnie i w mieście naszym. Zarządzający wystawą czynią obecnie starania w magistracie naszego miasta o udzielenie jej miejsca w salach ratusza.

— Warszawskie Towarzystwo Kredytowe sprowadzało dotąd papier na swoje listy zastawne z Anglii, z Londynu; obecnie zamówiono go w fabryce papieru w Jeziornie. Wyrób odbywa się pod nadzorem delegatów Towarzystwa.

— Dr Józef Siemiradzki w liście pisanym do „Gazety Lwowskiej“ z drogi do Brazylii donosi, że wypłynął d. 20-go Lipca z Bordeaux. W szacie pobytu swego w Paryżu był w ambasadzie brazylijskiej i według otrzymanych tam wiadomości upewnił się, że listy pisywane przez ks. Chelmieckiego z prowincji San Paulo i Parana są bezstronne i wiarogodne. Wszystkie te listy jego ambasada paryzka przetłumaczyła i przesała rządowi swojemu. Dr Siemiradzki stanie w Rio de Janeiro w połowie Sierpnia, lecz

zabawi tam tylko tyle czasu, aby uzyskać potrzebne mu ułatwienie w ministerium rolnictwa i zarządzie koloniami. Dwóch towarzyszy Dr Siemiradzkiego uda się do prowincji St. Catharina, dwóch do Rio Grande do Sul, i zjadą się dopiero w jesieni w Październiku w Montevideo, gdzie przybędą z Europy podróżnicy, pragnący wziąć udział w wyprawie. W Listopadzie wyruszy w głąb kraju wyprawa już całkowita składająca się obok Dr. Siemiradzkiego z pp. Antoniego Hempla, Witolda Łażniewskiego ziemianina z Płockiego, Mieczysława Korwina ze Lwowa, Wilhelma Kreusch oficera huzarów z radca, wreszcie Dra Konstantego Siemiradzkiego brata naczelnika wyprawy, która zbrojnie, w kilkadziesiąt koni i kilkunastu ludzi wyruszy z Bahia Blanca przez Pampasy do kolonii Acha na następnie w Kordolierzy, ztamtąd na południe do jeziora Nahnel Huapi i z powrotem wzdłuż rzeki Rio Negro, stanowiącej granicę niepodległych pokoleń krajowców. Wyprawa trwać ma do Maja i o ile starczy jej sił i środków, zwiedzi północne prowincje Argentyny.

— Hipolit Marczewski, rzeźbiarz, wymodelował w glinie wielkich rozmiarów Chrystusa na krzyżu dla katedry włocławskiej. Postać Chrystusa jest wysoka na półpięta łokcia. Pod krzyżem staną dwie, odpowiednich rozmiarów postacie: Matki Boskiej bolesnej i św. Jana, oraz dwóch aniołów. Grupa ta będzie umieszczoną w łuku ponad prezbiterium katedry.

— Grunt pod pomnik Mickiewicza w rynku krakowskim został oddany przez delegatów Rady Miejskiej komitetowi budowy w osobie dra Władysława Wilkosza, zastępcy przewodniczącego komitetowi. Wyznaczono pod pomnik 900 metrów kwadratowych przestrzeni na punkcie środkowym od Sukiennic do ulicy Siennej. Pomnik oddalony będzie o 34 metrów od Sukiennic, to jest nieć będzie dość wolnej przestrzeni od strony swojej tylnej i od strony frontowej, oraz z boków oddalenie od budynków i chodników będzie o wiele większe i piękny stary rynek krakowski wspaniale przyozdobiony zostanie. Wykonawcą pomnika, Rygiel, udaje się przed rozpoczęciem pracy swojej do Rzymu.

— Zbiorowa fotografia uczestników zjazdu przyrodniczo-lekarskiego w Krakowie obejmuje wizerunki przeszło stu osób.

— Architekt Pryliński, restaurator Sukiennic, ma sobie powierzona budowę gmachów, potrzebnych, aby osoby przybywające do Krynicy na kuracyę znalazły tu odpowiednią wygodę. Koszt tych budowli: bazaru podobnego do Sukiennic i domu dla gości, obliczony na 100.000 złr. ponosi ministerium rolnictwa w Wiedniu.

— Jan Malborezyk, krakowianin, kształcący się na rzeźbiarza, otrzymał od wiedeńskiej Akademii Sztuk pięknych pierwszą w oddziale rzeźby nagrodę za utwór: „Niewidomy“, który, jak się spodziewać należy, będzie zapewne wystawiony w Krakowie, a następnie w Warszawie.

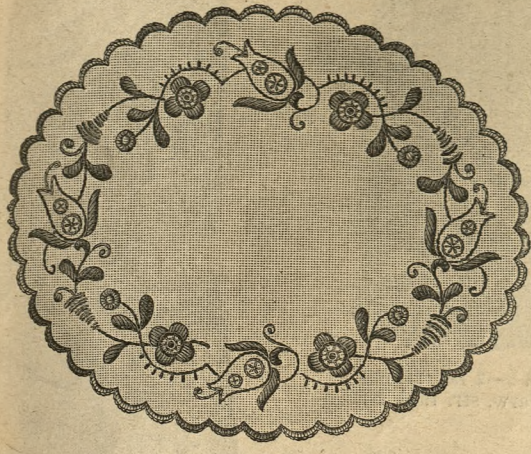
— W Bolesławiu, w dyecezyi kieleckiej, zbudowany będzie kościół w stylu gotyckim.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przekład z angielskiego.

**TREŚĆ:** Pogawędka. — Garbuska. Powieść, przez Michała Bałuckiego (dalszy ciąg). — Pastuszek, (wiersz), przez Ignacego Markowskiego, Lubelczyka. — Złoty potok, przez Rt. — Kronika działalności kobiecej. — Justynówka, obrazek z życia letnich mieszkańców w Mrozach, przez Bogumiła Hoffa. — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 2-gi powieści, pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. — 39 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**





Nr 3. Patarafka. Atlaskiem, gałązkowym i dzierganym ścięciem. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 67).

**Suknia z bengaliny.**

Rycina Nr 1.

Suknia spacerowa z zielonej bengaliny, ubrana u dołu szlakiem z aplikacji aksamitnej w ciemniejszym odcieniu, z przodu ułożona w fałdy, stanik z długimi szosami pokrytymi aplikacją z kamizelką z cienkiego aksamitu i karczkiem z bengaliny, kołnierzyk i mankiety z aksamitu.

**Suknia z fularu i koronkowego materiału.**

Rycina Nr 2.

Spódnica 220 centim. obwodu mająca, z ciemno-szafirowego kanaanu, ubrana w dole falbaną z szafirowego fularu w także ciemniejsze pasy, i żółty rzucik, pokryta cała takimże materiałem nieco z przodu upiętym i w zęby wyciętym, z tyłu zaś ułożonym w wachlarz. Krótki staniczek ubrany z przodu zmarszczonym materiałem koronkowym, kremowego koloru. Brzegi tej koronki chowają się pod boczki stanika, a na szwie ułożyć fular w fałdy, krótkie bufaste rękawy, riusza z koronki dopełnia ubranie stanika zakończonego z przodu sutą dżetową frendzlą. Takież szlaczek przecina z przodu kamizelkę z koronki, oraz otacza dół rękawa.

**Patarafka. Atlaskiem, gałązkowym i dzierganym ścięciem.**

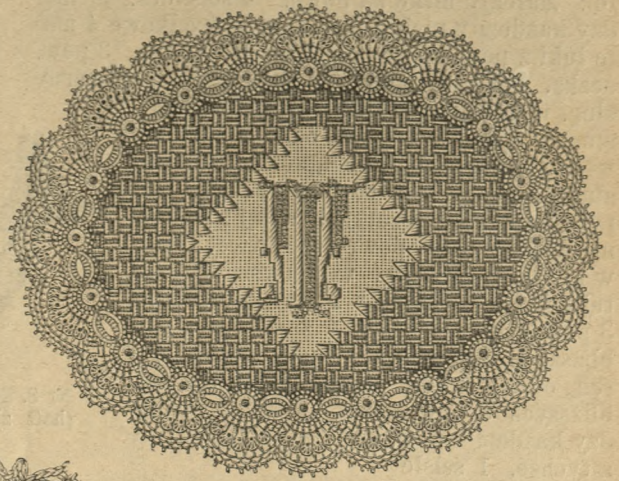
Rycina Nr 3. (Deseń odwrotna str. tabl. Nr. XVIII, fig. 67).

Patarafka owalna, mająca 36 cent. dług., wykonana z kremowego koloru krepowego materiału, ozdobiona haftem dzierganym, ponsową i szafirową bawełną po trzy ząbki na przemiany, kwiatki zaś atłaskiem i gałązkowym ścięciem temież kolorami, a oprócz tego bronzową bawełną.

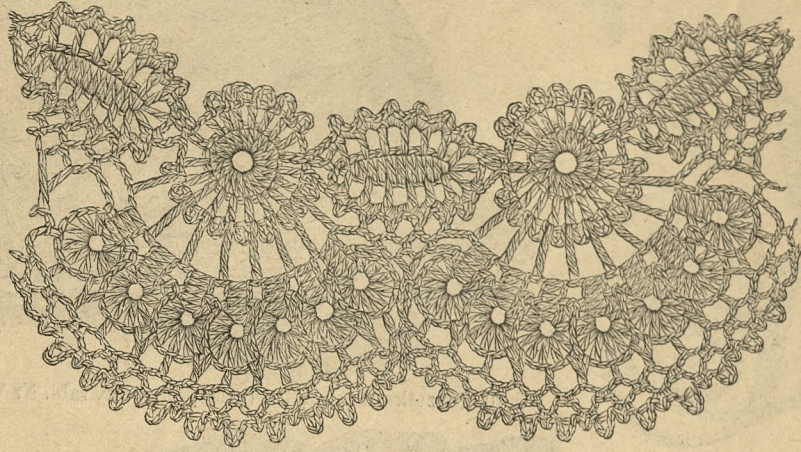
**Patarafka. Atlaskiem i szydełkową robotą.**

Rycina Nr 4 i 5.

Patarafka podłużna, mająca 36 cent. długości a 22 cent. szerokości, oprócz szlaku, wykonana na kanwie „congrès“ żółtawego koloru, ozdobiona w środku monogramem, otoczona wokół dzierganymi gęsto ząbkami, połączonymi koronką wykonaną szydełkiem krętą bawełną jak następuje: — 1 kolej: \* rozetka czyli 18 pow. oczek, z których 10 ocz. połączyć 1 ścis. łańc. ocz. w dziewiątem oczku, 2 pow. ocz., 1 ścis. łańc. ocz. w 6 z 18 pow. ocz. 9 słup. w najbliższą połowę kółka, na 1 listek, 20 pow. oczek na najbliższych 14 z tychże



Nr 4. Patarafka. Płaskim ścięciem i robotą szydełkową (do ryc. Nr 5).



Nr 5. Szlak szydełkowy do patarafki Nr 5 (wielkość naturalna).



Nr 1. Suknia z bengaliny z haftem i aplikacją.

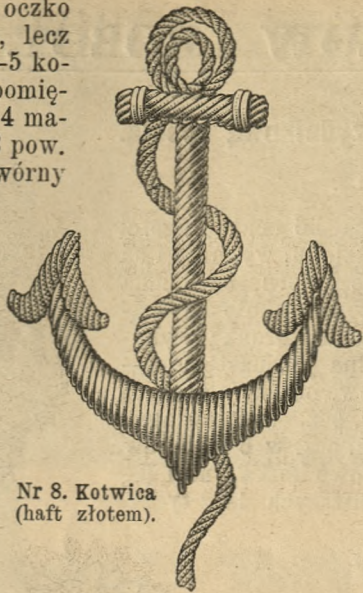
Nr 2. Suknia z fularu i koronkowego materiału.

z powrotem, następnie oczko opuścić, 1 ścis. oczko, 1 pół-słupek, 3 słup., 1 podwójny słup., 3 słupki, 1 pół-słupek, 1 ścis. ocz., 1 pow. ocz., 1 ścis. łańc. ocz. w drugie z rzędu oczko, 3 pow. ocz., potem w wolne jeszcze żyłki poprzedniego oczka, 1 słup. w opuszczone oczko, 6 razy naprzemian: 2 pow. oczka, 1 słup. w drugie z rzędu oczko, 2 pow. oczka, 1 słup. w najbliższe oczko, od \* 19 razy powtórzyć, lecz dla zaokrąglenia formy, należy przy 6 do 9 powtórzeniu, oraz przy 16 do 19, zamiast 9 słup. 11 słup.

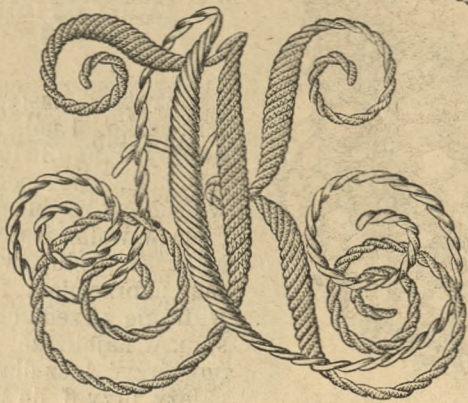
na jedną rozetkę wykonać, w końcu 1 ścisłe łańc. ocz. w 1 pow. ocz. tej kolei. — 2 kolej: Z drugiej strony z powrotem: \* 2 pow. oczka, 1 słup. w to samo oczko, w którym ostatni słup. listka wykonany został, 2 pow. ocz., 1 słupek w najbliższe oczko, 5 razy naprzemian: 2 pow. ocz., 1 słup. w drugie z rzędu ocz., 2 pow. ocz., 6 ścis. łańc. oczko w następnie 6 pow. oczek, 1 ścis. łańc. ocz. w ostatni słup. najbliższej rozety, 8 słup. w wolną połowę najbliższego kółka, 1 ścis. łańc. oczko w ocz., w którym 2 ścis. łańc. oczka rozety wykonane były; 5 ścis. łańc. ocz. w najbliższe 5 pow. ocz. rozety, 1 ścis. łańc. ocz. w ostatni słup. następnego listka, od \* powtórzyć. — 3 kolej: \* 1 ścis. ocz. w najbliższe 2 pow. oczka następnego listka, 5 razy naprzemian: 2 ścis. ocz. a pomiędzy nimi 3 pow. ocz. w następnie 2 pow. ocz., 2 ścis. ocz. razem złączone w żyłki oczka, będącego z obu stron najbliższego słupka, potem 2 pow. ścis. oczka, pomiędzy nimi 3 pow. ocz. w najbliższe 2 pow. ocz., 1 ścis. oczko w następnie 2 pow. oczka, 2 pow. ocz., 1 ścis. oczko w środkowe z najbliższych 7 ścis. łańc. ocz., 2 pow. oczko, najbliższy słupek rozetki opuścić, 7 słup., pomiędzy każdym pikot (5 pow. ocz. połączonych 1 ścis. ocz.) w następnie 7 słup., 2 pow. ocz., 1 ścis. oczko w środkowe z następnych 7 ścis. ocz., 2 pow. oczka, od \* powtórzyć; w końcu 1 ścis. łańc. ocz. w 1 ścis. ocz. tej kolei,



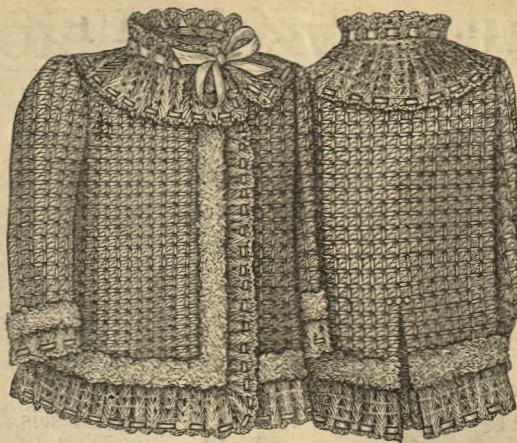
nitkę umocować i obciąć. — 4 kolej: W oczko 1 kolei, podobnie jak poprzednia kolej, lecz należy powiększyć ilość słupków o 1 słup. — 5 kolej: Założyć nitkę na nowo, \* 4 ścis. ocz., pomiędzy każdym z nich 3 pow. ocz. w środkowe 4 małe luki z pow. oczek najbliższego listka, 3 pow. oczka, opuścić najbliższy słupek, † 1 poczwórny słup. w następny słupek, 8 pow. oczek, 5 słup. w 5 do 1 z tychże, od † 4 razy powtórzyć, 1 poczwórny słupek w następny słupek, 3 pow. ocz. od \* powtórzyć, lecz przy większych rozetkach w tej i następnej kolei należy powtarzać więcej razy, w końcu 3 ścis. ocz. w pierwsze 3 oczka tej kolei. — 6 kolej: \* 2 razy naprzemian 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w środkowe z najbliższych 3 pow. ocz., 3 pow. oczka, † 1 ścis. ocz. w wolną jeszcze żyłkę 3 z najbliższych 8 pow. oczek, 9 słup. pomiędzy każdym 1 pow. ocz. w ostatnie trzy z tychże, 1 ścisłe ocz. w 3 z najbliższych 5 słup., od † powtórzyć 4 razy, 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w środkowe z następnymi 3 pow. ocz., od \* powtórzyć, ostatnie ścis. ocz. ko powinno wypaść w ostatnie ścis. łań. ocz. poprzedniej kolei. — 7 kolej: 2 ścisłe łań. ocz. w najbliższe 2 pow. o., 3 pow. o., 1 słup. w środkowe z następnymi 3 pow. ocz., \* 1 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w pow. oczko, będące pomiędzy 3-ciem i 4-tem z ocz. następujących po 9 słup., 5 pow. ocz., † 1 słup. w drugi z rzędu słup., 4 pow. ocz., 2 słup. razem złączone w pow. o., będące pomiędzy 6 i 7 słupkiem tej kolei, pomiędzy 3 i 4 słup. następnej kolei z 9 następnymi słupkami, 4 pow. ocz., od † powtórzyć 3 razy, lecz przy 2-m powtórzeniu, zamiast pojedynczego słupka, wykonać 2 słupki, a pomiędzy nimi 4 pow. ocz. w 4 i 6 słup. z 9 słupków, poczem oba słupki będące z obydwóch stron o 1 słupek przesunąć, 1 słupek w środkowe z ostatnich 9 słup., 5 pow. ocz. 1 ścis. ocz. w pow. ocz., następujące po najbliższym słup., 1 pow.



Nr 8. Kotwica (haft złotem).



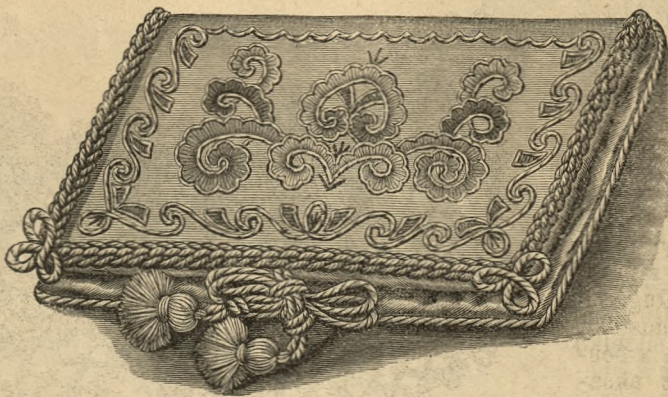
Nr 9. Monogram (haft złotem). do ryc. Nr 14.



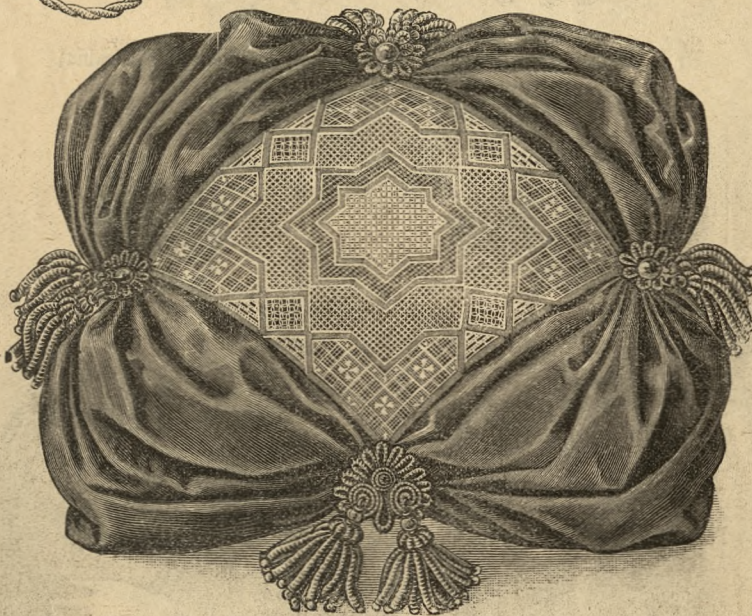
Nr 6 i 7. Kaftanik dla dzieci od 1—2 lat (robota szydełkowa i drutowa). Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 27 i 28.



Nr 11. Plecy do sukni Nr 21.

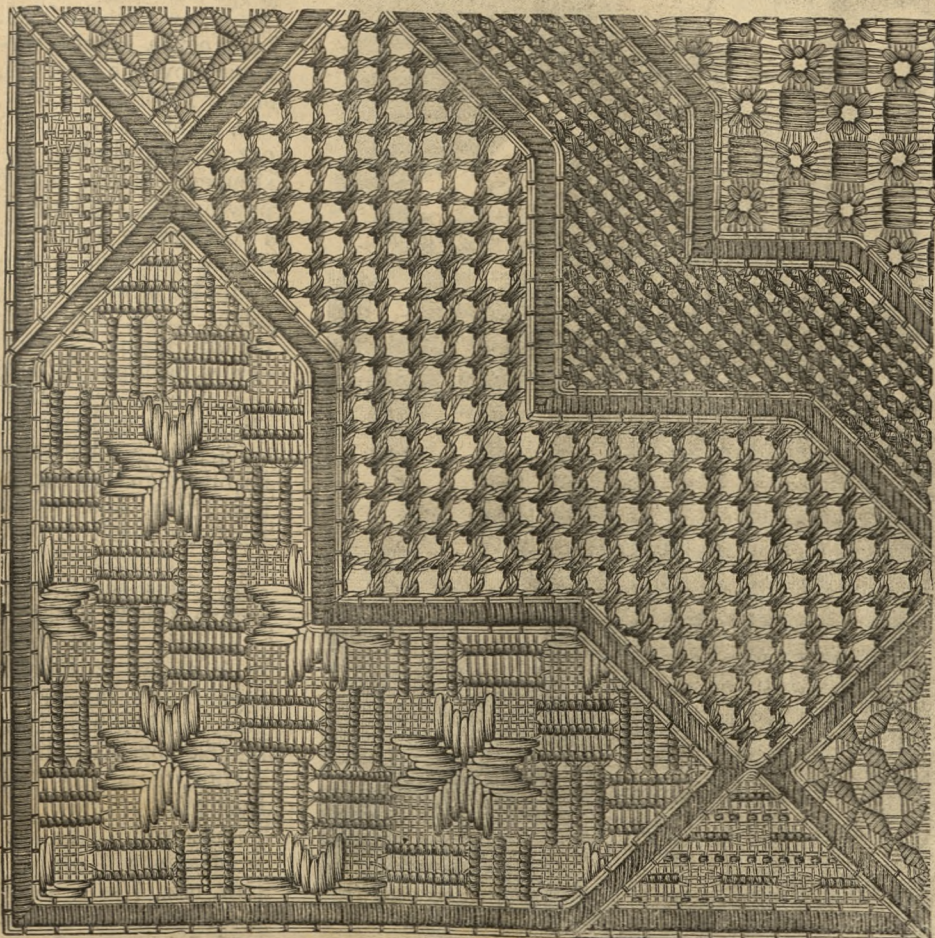


Nr 10. Saszetka do chustek. (Des. pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 29 i 30).

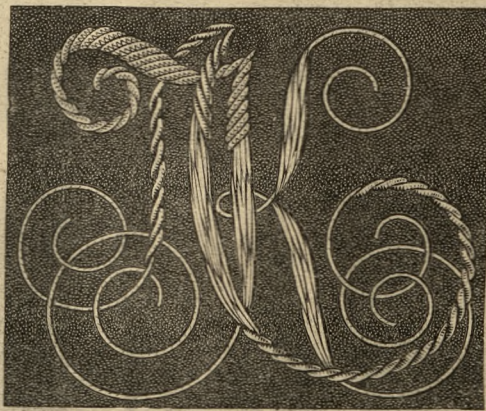


Nr 12. Poduszka (płaskim ściegiem i mereszka).

ocz., 1 podwójny słupek, którego dolną żyłkę potem należy przerobić, w środkowe z drugich z rzędu 3 pow. ocz., 1 słup. w środkowe z następnymi 3 powietrznymi oczkami, górną żyłkę tegoż słupka z najbliższą żyłką poprzedniego podwójnego słupka połączyć jak również górną żyłkę ostatniego, od \* powtórzyć, lecz za każdym razem należy połączyć środkowe z 5 pierwszych pow. ocz., ze środkowym z ostatnich 5 pow. ocz. poprzedniej gwiazdki; w większych rozetkach opuszcza się różnicę, którą należy wykonać przy 2-ym powtórzeniu od †; w końcu 1 pow. oczko, 1 ścis. łań. ocz. w ścis. ocz. tej 1 kolei i 4 ścis. łań. oczko, z których 3 połączyć ze środkowym z poprzednich 5 pow. oczek, w następne 4 pierwszych 5 pow. ocz. tej kolei. — 8 kolej: \* 9 razy naprzemian: 4 pow. ocz., 2 ścis. oczka w środkowe 2 najbliższych 4 pow. oczek, 4 pow. ocz., 1 ścis. oczko w 2 z rzędu oczek najbliższych 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w przedostatnie z 5 następnymi pow. ocz., od \* powtórzyć. — 9 kolej: \* 2 ścis. ocz. w środkowe 2 oczka najbliższych 4 pow. ocz., 4 pow. ocz., 7 razy naprzemian: 2 ścisłe oczka, a pomiędzy nimi po 2 powietrzne oczka w środkowe 2 najbliższych 4 powietrznymi oczkami, (1 pikot 5 pow. ocz., 1 ścis. oczko, 1 pow. ocz.), 2 ścis. ocz. pomiędzy nimi 2 pow. o. w środkowe 2 z następnymi 4 pow. ocz., 4 pow. ocz., 2 ścis. oczka w środkowe 2 z najbliższych 4 pow. oczek, od \* powtórzyć; w końcu 1 ścis. łań. ocz. w 1-sze ścisłe oczko tej kolei.



Nr 13. Czwarta część haftu do poduszki Nr 12.



Nr 14. Sposób wykonania monogramu Nr 9.



Nr 15. Szlak do ozdoby sukien (haft złotem).



### Kaftanik dla dzieci od 1—2 lat. Szydełkowa i drutowa robota.

Rycina Nr 6 i 7. (Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 27 i 28).

Kaftanik wykonany białą zefirową włóczką, ozdobiony koronką, przez którą przewleka się wstążeczkę a brzeg tej koronki przykryty rurszą wykonaną na drutach. Wykonać szydełkiem podług kroju Nr 27 podanym na tablicy, zaczawszy od prawego przedniego brzegu, na założeniu odpowiedniej ilości oczek, jak następuje; — 1 kolej: 3 pow. ocz. 5 oczek nawinać; 1-sze i 2-e z 2 i 1 poprzednich 3 pow. ocz., ostatnie 3 z najbliższych 3 oczek założenia, poczem wszystkie będące na szydełku oczka przeciągnąć razem 1 oczkiem i przerobić, na każdą część desenu: \* 5 ocz. nawinać, lecz 1-sze z żyłki oczka będącego nad oczkiem, które połączyło poprzednio nawinięte oczko, 2 oczko z tylnej żyłki ostatniego oczka poprzednio nawiniętych 5 ocz., 3 ocz. z oczka, z którego poprzednio wymienione oczko nawinięte było, ostatnie zaś 2 oczka z najbliższych 2 oczek założenia; wszystkie oczka razem 1 oczkiem przeciągnąć i przerobić, od \* powtórzyć. — 2 kolej: 1 ścis. łańc. oczko w 2 z pierwszych 3 pow. ocz. poprzedniej kolei, 2 pow. ocz. 5 oczek nawinać, 1 z nich z 1-em ocz. poprzednich 2 pow. oczek, 2 ocz. z poprzedniego ścis. łańc. ocz., 3 oczko z najbliższego ocz. poprzedniej kolei, 4 oczko w następne oczko, 5 oczko z najbliższego oczka; poczem wszystkie razem przeciągnąć i przerobić. \* 5 oczek nawinać: 1 z żyłki będącej nad oczkiem, łączącym wszystkie poprzednie oczka, 2 oczko z tylnej żyłki ostatniego oczka z 5 poprzednio nawiniętych, 3 oczko z oczka, z którego poprzednio wymienione oczko nawinięte było, 4 oczko w następne oczko poprzedniej kolei, 5 ocz. z najbliższego oczka, — wszystkie przerobić i połączyć, od \* powtórzyć. Następne koleje wykonać w podobny sposób, mocując na krój Nr 27, a wzdłuż gładkiej linii wsunąć część w formie klinu; na 1 ocz. z nich wykonać dodatkową kolej na 14 figurach desenu oraz 2 koleje na 8 i 6 figurach, na drugi klin 3 koleje, na 4, 8 i 12 figurach. Doszedłszy do środka pleców wykonać na fałdy baskinki odpowiednią ilość kolei, a na zakończenie drugą połowę kaftanika, lecz w odwrotnym kierunku i tylko do zaznaczonego konturu lewego przedniego brzegu. Ułożyć baskinkę w fałdki, ozdobić ją 3 guziczkami i wykonać szew ramienia od 49—50. Rękawy wykonać podług fig. 28 od górnego brzegu, poczem połączyć od 51—52, wewnątrz rzędem ścisłych oczek, połączyć z pachą kaftanika, 1 szew przykryć rzędem pikotów (1 ści. ocz. w najbliższą żyłkę, 6 pikot. t. j. 3 pow. ocz. i 1 ści. oczko w poprzeczne żyłki poprzednich ścis. ocz.). Koronkę wykonać jak następuje: 1 kolej; Naprzemian: 4 słupki, środkowe 2 przedzielone 2 pow. ocz. w najbliższe brzeżne oczko, 4 słup., 2 środkowe przedzielone 2 pow. oczkami w drugie z rzędu brzeżne oczko.



Nr 16. Serwetka (haft supełkowym, gałązkowym ścięgiem i atłaskiem).

Kotwica, monogram i szlak złotem haftowane.

Rycina Nr 8, 9, 14 i 15.

Nr 8. Przedstawia kotwicę, wykonaną złotymi niemi gładkimi oraz kręconymi, Nr 15 szlak w tenże sposób wykonany, nadający się do ozdoby sukien, Nr 9 przedstawia monogram. Aby haft wykonać, należy



Nr 17. Suknia z haftowanego batystu. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 18. Suknia z materyału „serge.“ (Opis pierw. str. tabl.)

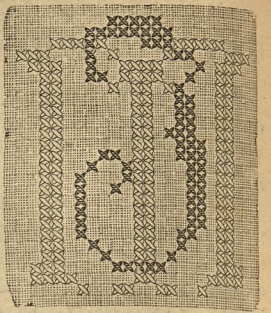
Nr 19 i 20. Suknia z wełny w pasy. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 21. Suknia z szewiotu (do ryc. Nr 11). (Opis pierw. str. tabl.)

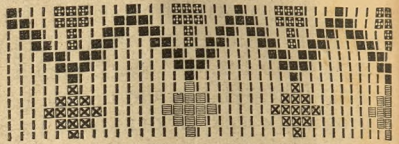
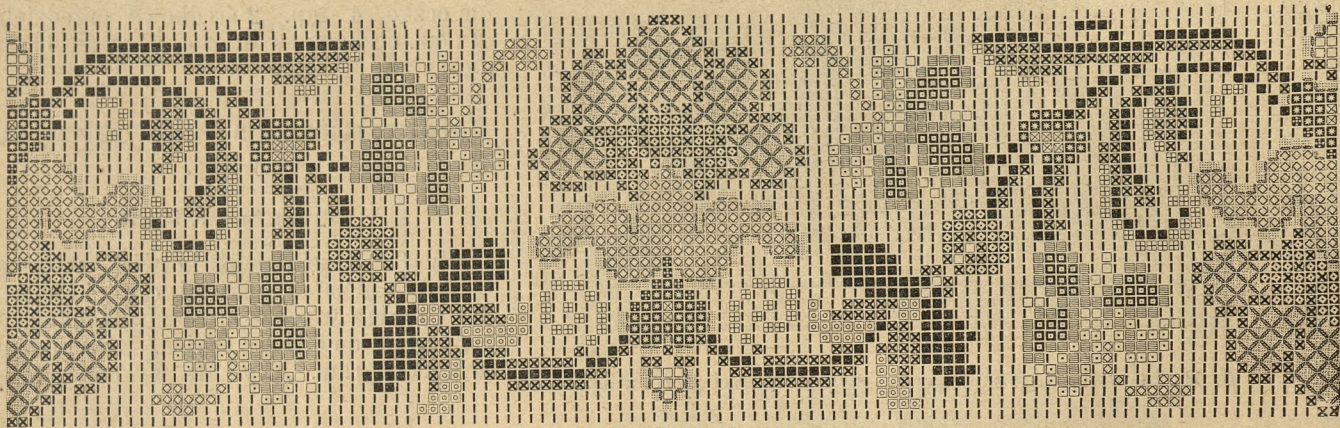




Nr 22. Serweta na kanapę. Krzyżowym, płaskim i Holbejna ścięciem (do ryc. Nr 23 i 24).

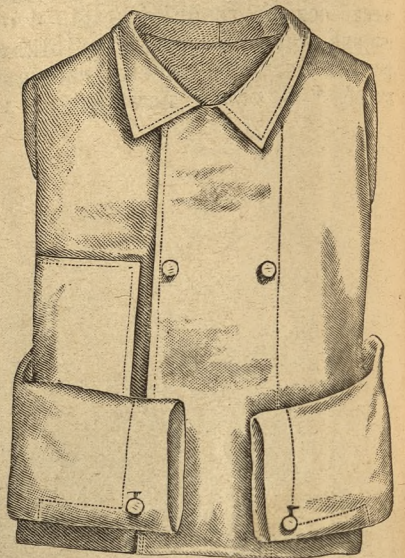


Nr 25. Monogram (krzyżowa robota).

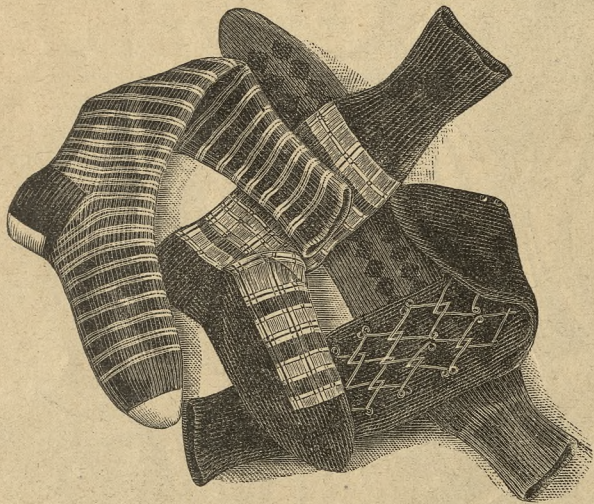


Nr 23. Wzór do wąskich szlaków (do ryc. Nr 22). Objaśnienie znaków: \* brązowy, □ ponsowy, ■ zielony, ▣ lila, ' tło.

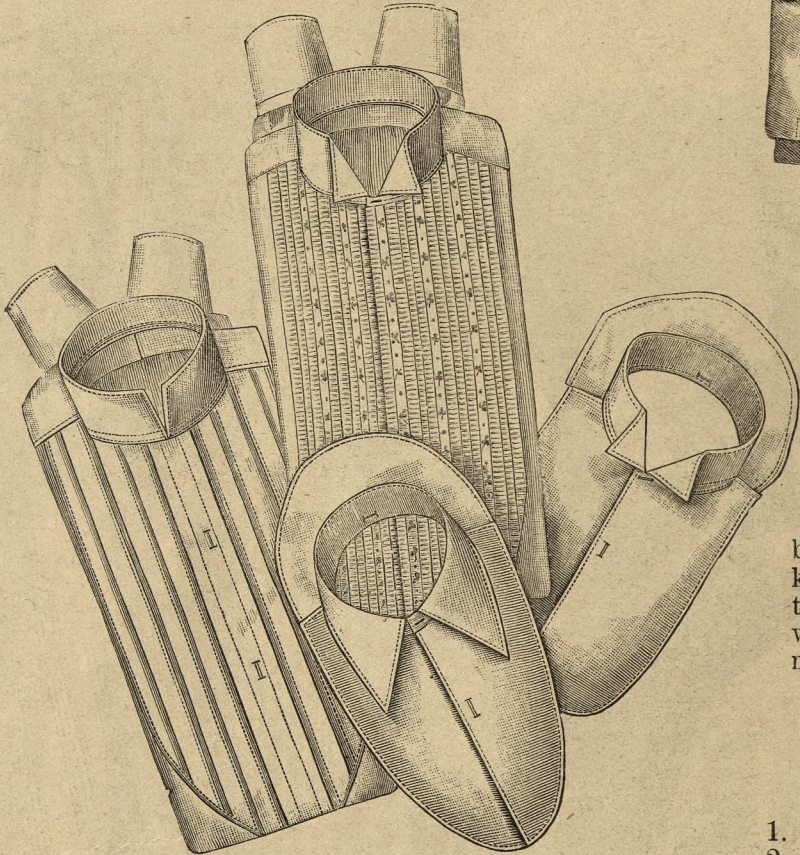
Nr 24. Wzór na szeroki szlak ryc. Nr 22. Objaśnienie znaków: ■ pierwszy najciemniejszy, drugi, □ trzeci, ▣ czwarty najjaśniejszy zielony (jedwab), □ złoto, ■ ciemno-ponsowy, ▣ jasno-ponsowy, = różowy (jedwab), ■ najciemniejszy, □ jasny, ▣ najjaśniejszy lila (jedwab), \* brązowy, ▣ kremowy, □ jasno-niebieski (jedwab), ' tło.



Nr 9. Kaftanik nocny dla panów. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 31—34).



Nr 26—29. Skarpetki. (Opis odwr. str. tablicy).



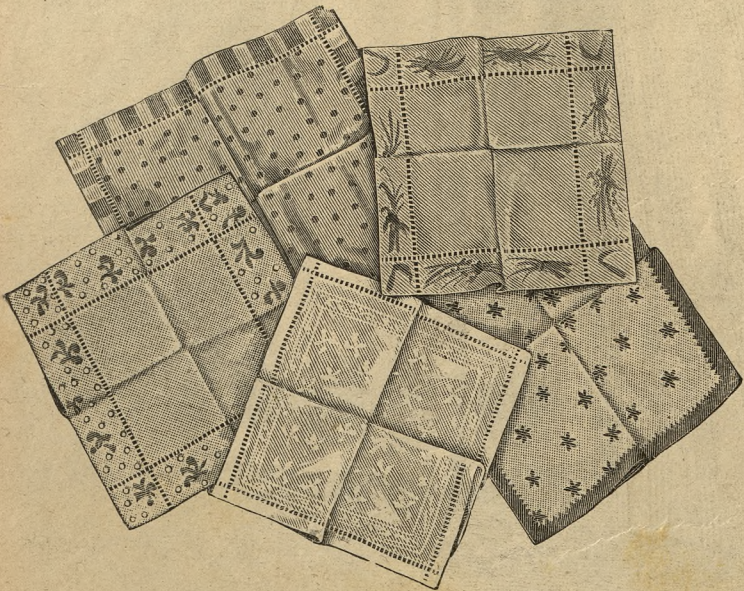
**Serwetka. Ałaskiem, gałazkowym i supelkowym ścięciem.**

Rycina Nr 16.

Serwetka mająca 70 cent. w kwadrat, z białego grubego płótna. Obrabiona mereszka na 2½ c. szer., ozdobiona haftem, wykonanym różnokolorowym jedwabiem zdatnym do prania.

**Obiad na Niedzielę.**

1. Chłodnik z masłem rakowem.
2. Połędwica.
3. Groch cukrowy w strączkach z masłem młodem.
4. Kaczki dzikie.
5. Legomina parzona.



Nr 34 — 38. Chustki do nesa dla panów. (Opis odwr. str. tabl.).

Nr 30—31. Koszu'e męskie. Nr 32—33. Półkoszulki męskie (Krój i opis pierw. str. tabl. (serviteurs). Kr. i op. odwr. str. Nr III, fig. 10—16.) j tabl. Nr XIV, fig. 52—56.

desen przenieść na materiał, podłożyć muślinem i przewlec grubo białą bawełną jak na rycinie 14, poczem naszywa się bajorek, który stosownie do potrzeby tnie się na kawałki odpowiedniej długości, poczem pojedynczo nawleka się je na jedwabną nitkę woskiem natartą i przyszywa na deseni ukośnym gałazkowym ścięciem, lub też ukośnie ałaskiem. Trzeba przytem uważać, aby nitkę ani za długo ani za krótko nie obcinać, do czego wprawą tylko się dochodzi.

**U W A G A.**

Do dzisiejszego numeru dołączona jest tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczy podać się mających.